TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYCHODZI 6 RAZY NA ROK

ROCZNIK XXII (1937/8) ZESZYT 4 (112)

*

TREŚĆ

DORMITOR (L. Gorski), z 7 fot. i mapką 89
ITINERARIUM ÖTZTALSKIE (J. Pierzchała), z 8 fot. 95
MATERIAŁY DO HISTORII TATERNICTWA: O PÓŁNOCNEJ STRONIE MAŁEGO KIEZMARSKIEGO SZCZYTU (J. A. Szczepański) 100

ITINERARIA (103). SKALNE DROGI (104). KARTA ŻAŁOBNA (105). KRONIKA HIMALAJSKA, z mapką (105). KRONIKA ALPINISTYCZNA (106). NOTATKI (107). SPRAWY OCHRONY PRZYRODY TATR (108). Z PIŚMIENNICTWA (109). KORESPONDENCJA (111). SPRAWY KLUBU (112).

*

WARSZAWA, MAJ 1938 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ŻURAWIA 9 m. 1; Tel. 9.41.42
FILIA ADMINISTRACJI: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO 4; Tel. 112.77
CENA ZESZYTU 1 ZŁ. PRENUMERATA ROCZNA (6 ZESZYTÓW) 5 ZŁ.
KONTO CZEKOWE „TATERNIKA“ NR 409.570

NAKŁADEM KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

TATERNIK

ORGANE DU CLUB DE HAUTE MONTAGNE DE LA SOCIÉTÉ POLONAISE DES TATRAS

PARAIT SIX FOIS PAR AN

XXII ANNÉE (1937/38) NUMÉRO 4 (112)

VARSOVIE, MAI 1938.

★

SOMMAIRE

DORMITOR (avec 7 phot. et 1 carte), par L. Gorski (page 89). DANS LES ALPES D'OETZTAL (avec 8 phot.), par J. Pierzchała (95). MATÉRIAUX POUR L'HISTOIRE DE L'ALPINISME DANS LES TATRAS: LA FACE NORD DU MAŁY KIEZMARSKI SZCZYT, par J. A. Szczepański (100). ITINÉRAIRES (103) et COURSES NOUVELLES (104) dans les Hautes Tatras. CHRONIQUE FUNÈBRE (105). CHRONIQUE HIMALAYENNE (avec 1 carte) (105). CHRONIQUE ALPINE (106). NOTES (107). AFFAIRES DE LA PROTECTION DE LA NATURE DANS LES TATRAS (108). BIBLIOGRAPHIE (109). CORRESPONDANCE (111). CHRONIQUE DU CLUB (112).

ADRES ZARZĄDU KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO P.T.T.:
Warszawa, ul. Żurawia 9 m. 1. Telefon 9.41-42.

TYMCZASOWE KONTO CZEKOWE P. K. O. (ODDZ. WARSZ. P. T. T.) NR 4000.

ADRES KOŁA WARSZAWSKIEGO K. W. P. T. T. — jak wyżej.

ADRES KOŁA KRAKOWSKIEGO K. W. P. T. T.:
Kraków, ul. A. Potockiego 4 (parter). Tel. 112-77.

ADRES KOŁA ZAKOPIAŃSKIEGO K. W. P. T. T.:
Zakopane, ul. Krupówki, Dworzec Tatrzański. Tel. 13-39.

★

Zarząd Klubu przypomina pp. Członkom Klubu, że o zmianach adresu winni zawiadamiać zawsze Zarząd tego Koła Miejscowego K. W. P. T. T., do którego należą oraz Administrację „Taternika“ w Warszawie.

★

PRENUMERATORZY „TATERNIKA“ PROSZENI SĄ O OPŁACENIE DO DNIA 1 CZERWCA B. R. PRENUMERATY ZA R. 1937/8.

Zwracamy się do wszystkich przyjaciół „Taternika“ o jednanie nam nowych czytelników i prenumeratorów.

TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ROCZNIK XXII (1937/8) ★ ZESZYT 4 (112)

★ WARSZAWA, MAJ 1938 R. ★

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa 1. Ul. Żurawia 9 m. 1. — Telefon 9-41-42
FILIA ADMINISTRACJI: Kraków. Ul. A. Potockiego 4 (parter). — Telefon 112-77

DORMITOR

Projekt zwiedzenia Dormitoru dojrzewał już od dawna. Jeszcze w r. 1935, po przeczytaniu sprawozdania z wyprawy dr Bernharda Bauera i tow.[1]), postanowiliśmy wraz z żoną zajrzeć w te tak mało znane góry przy okazji projektowanych wakacyj w Dalmacji. Były wielkie projekty, wielkie ambicje i wiele, wiele gadania. Był i trening po drodze w Alpach Julijskich (Triglav, Kenjavec), byli i namówieni towarzysze. Ostatecznie nastąpiło «załamanie psychiczne» w pięknym Dubrovniku i wszystko rozpłynęło się w słonych falach Adriatyku. Różne były przyczyny — największa może to brak komunikacji i konieczność organizowania drogiej karawany konnej dla przebycia w obie strony przeszło 300 km. A po powrocie do kraju wizje niespełnionych pragnień, w postaci dziewiczych grani Zubców czy bajecznych serii kominów w Prutasie, nie dawały nam spać po nocach. Wreszcie po długich dwóch latach nadeszła oczekiwana sposobność. Czasu wprawdzie było niewiele, pieniędzy jeszcze mniej, towarzysze zawiedli, wskutek czego program został poważnie ograniczony, jednak po żmudnych obliczeniach i kalkulacjach udało się wykombinować osiem dni na czystą działalność w terenie. Nowozbudowana szosa Nikšić-Žabljak ogromnie ułatwiła zadanie. 13 lipca opuściliśmy granice Polski.

Zostały już za nami lesiste zbocza Semmeringu, ponure wąwozy Zrmanji i rozpalone piargi karstowych wyżyn Velebitu, gdzie stalowe osłony chronią pociągi przed gorącym tchnieniem sirocca. I pełne uroku godziny jazdy po gładkim jeszcze morzu naprzeciw ciągnącej z południa burzy. Odsiedziawszy obowiązkowe 5 dni w *Dubrovniku* (ze względu na zniżki kolejowe) wyruszyliśmy pod wieczór 22 lipca w ostatni, najpiękniejszy etap drogi.

Pocztowy autobus, wyrwawszy się z ciasnych uliczek Dubrovnika, ruszył ostro w górę wspaniałą asfaltową szosą. Droga wznosi się coraz wyżej nad urwiskiem, u stóp którego biją fale morza. Wkrótce skręcamy w głąb lądu. Jeszcze przez chwilę widać gdzieś nisko w dole bajeczną panoramę zatoki pod Kupari. Słońce zachodzi, złotem mienią się fale, a niebo ma barwę opalu. Za siodłem przełęczy zapadamy w dół i wszystko się zmienia. Droga wije się teraz w dziesiątkach łuków wśród gmatwaniny kotlin karstowych. Aż po krańce horyzontu ciągną się niezliczone szeregi jednakowych kopic poprzegradzanych wielkimi lejami, często kilometrowej średnicy. Ani śladu jakiegoś systemu, jakichś dolin czy działów wodnych, ani kropli wody. Białe piargi wapienne i szaro-zielone kępy krzewów. Kopy i lejki następują po sobie z rozpaczliwą jednostajnością. Słońce zaszło i cienie zalegają kotliny, poprzez które pędzimy coraz prędzej, wciąż do góry i na dół. Ciemność

[1]) P. «Zeitschrift des D. u. Ö. AV.», rok 1934, s. 172.

wreszcie pokrywa ten chaos, w smudze reflektorów widać tylko biel szosy i majaki skał po bokach.

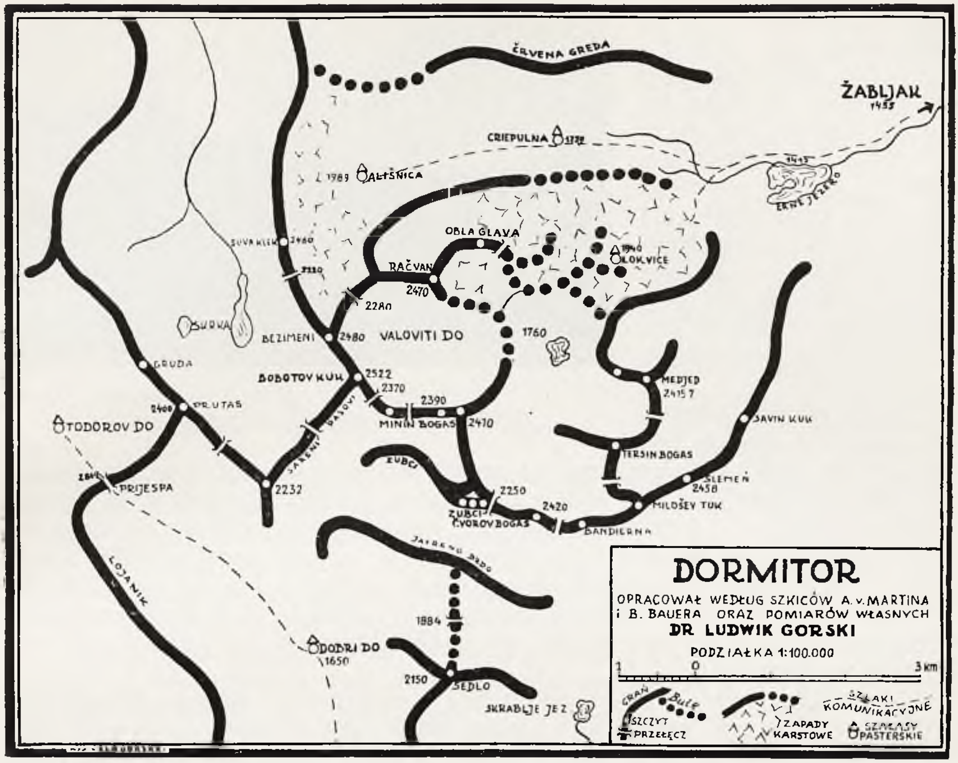
Na koniec coś się zmienia, błyskają liczne światełka, jakaś woda, most — wjeżdżamy między budynki *Trebinji.* Pstrągi na kolację i ostatni nocleg w hotelu, a o świcie dalej. Droga coraz to ciekawsza. Najpierw przez malowniczy, zielony wąwóz Trebinjcicy, potem za Lastvą ostro w górę. Nowozbudowana szosa jest tak wąska, że auta mogą się mijać tylko na specjalnych rozszerzeniach co parę kilometrów. Nasz ogromny Saurer-Diesel ledwie się na niej mieści, jednak z fantazją wali w górę. Nadzwyczaj ostre serpentyny wiodą nas wysoko ponad dolinę. Otwierają się przepiękne widoki w dal, słońce praży — blask jest tak mocny, że trzeba włożyć ciemne okulary. Okolica ma wciąż charakter pustyni o bardzo skąpej wegetacji. Droga jest teraz szersza, co chwila spotykamy partie robotników zajętych rozszerzaniem i łagodzeniem łuków. Równolegle budują linię kolejową Trebinje-Nikšić. Bagatela — coś około 100 km odległości, z tuzin tuneli, kilka sporych wiaduktów i przekroczenie przełęczy o przeszło 800 metrach wysokości do pokonania. «Zaczęli budować w r. 1936, a już na wiosnę 1938 mają puścić pociągi», informuje nas konduktor autobusu.

Wkrótce osiągamy brzeg ogromnego zapadu, na dnie którego leży miasteczko *Nikšić.* Osobliwe to miejsce. Okoliczne góry urywają się nagle przeszło 500-metrowymi ścianami tworząc równą jak stół, zieloną kotlinę o średnicy kilkunastu km. Trzy spore strumienie przecinają ją przez środek ginąc w głębokiej rozpadlinie w pd. kącie równicy. Kunsztownie wykuta szosa obniża się gwałtownie: Nikšić — godzina postoju, obiad. I znowu nasz Saurer wyje na pełnym gazie, znowu pod nami rozciąga się harmonijka przebytych serpentyn.

Przełęcz *Gvozd* (1500 m) — łąki zielone i liczne stada owiec, a w dali Dormitor. Ogromny płaskowyż ograniczony z trzech stron urwistymi ścianami kenionów Pivy i Tary. Ponad pierścień czarnych borów wystrzela poszarpana piła ośnieżonych szczytów. Droga schodzi w dół, góry rozstępują się na boki, pod nami otwiera się głęboka, ciemna otchłań. Gdzieś tam w dole, 500 m poniżej płynie podobno Piva. Żółto-czerwone skały spadają krzesanicami w głąb. A po przeciwnej stronie widać wyraźnie cienką, białą kreskę przecinającą w licznych zygzakach urwiste zbocze. To droga Šavnik-Žabljak, nasz dalszy szlak. Zaczynamy ogromnie ostrożny zjazd i poprzez piękny, stary kamienny most osiągamy nareszcie dno przepaści. Maleńkie miasteczko *Šavnik* ginie zupełnie w ciasnocie wąwozu, przytłoczone ogromem okolicznych ścian skalnych.

Dalej autobus nie idzie, więc przesiadamy się na siedmioosobową Skodę, do której ładuje się jedenaście osób z odpowiednią ilością bagaży. Nie szkodzi, byle dalej. Wąwóz zapada w dół — wjeżdżamy w całkiem nowy, dziwnie znajomy kraj. Wspaniałe lasy świerkowe, zielone hale i łańcuch śnieżystych wierchów w oddali. Nasz wóz, pozbywszy się po drodze większości pasażerów, zaczyna gnać pełnym gazem. Nachylenie terenu łagodnieje, góry coraz bliżej, lecz zwolna zaciągają się chmurami. Wkrótce leje całkiem jak w Zakopanem. Na szczęście nie długo. Z ostatnimi kroplami deszczu wpadamy między dziwne śpiczaste domki *Žabljaku.* Z trudem prostujemy nogi zdrętwiałe po 10 godzinach jazdy, z trudem zdobywamy kiepski nocleg, gdyż miejscowa gospoda turystyczna posiada zaledwie kilkanaście miejsc do spania i stale jest przepełniona.

Przeprowadzone wywiady odbierają nam cały humor. Nowiutka tablica orientacyjna Hrvatskog Planinarskog Družtva wylicza świeżo wyznaczone szlaki: Bobotov Kuk 7 godzin, Minin Bogas 6 godzin, znaki czerwone. Diabli wzięli egzotyzm, dobrze że nie ma tu jeszcze kolejki linowej, albo sanatorium dla astmatyków. Ale ogromny hotel już się buduje w drodze do Czarnego Jeziora. Przy kolacji nastrój nieco się poprawia. Ściany jadalni zdobią liczne piękne zdjęcia. Zwraca naszą uwagę wspaniała fotografia Bezimiennego Wierchu podpisana: Minin



Bogas. (Zdjęcie to znamy z artykułu Bauera). Widocznie, mimo znaczonych szlaków, nie wiele jeszcze wiedzą, jak tam w środku wygląda.

Jak się później przekonaliśmy, przypuszczenia nasze okazały się słuszne. Alpinizm w Dormitorze dopiero się tworzy, turystyka popularna również. Wprawdzie na najwyższym szczycie Dormitoru, Bobotov Kuku (na szczycie księga pamiątkowa i pieczątka) było w ciągu ostatnich dwóch lat około 80 ludzi, ale już na sąsiednim Minin Bogasie w tym samym czasie tylko siedmiu, a na innych pewnie jeszcze mniej. Przepiękne Czarne Jezioro u stóp Medjedu bywa celem większości wycieczek. Dalej mało kto się zapuszcza. W ciągu ośmiodniowego pobytu w głębi gór spotkaliśmy zaledwie jedną grupę trzyosobową idącą na Bobotov Kuk.

24 lipca rano ruszamy w górę. Udało się nam zdobyć jedynego w «mieście» konia pod bagaże. Jego właściciel dwunastoletni chłopak jest czymś w rodzaju przewodnika. Jednak zna tylko drodę do Czarnego Jeziora (*Črne Jezero*, 1413 m), dalej nigdy nie był, Za 20 dynarów zgodził się przewieźć nasze rzeczy na polanę Criepulną, chociaż nie ma pojęcia gdzie się ona znajduje. My też wiemy nie wiele więcej. Mapy nie posiadamy, bo chociaż istnieją w Jugosławii niezłe mapy wojskowe 1:75.000, ale nie wolno ich sprzedawać bez specjalnego pozwolenia Wojskowego Instytutu Geograficznego w Beogradzie. Ano trudno, co kraj to obyczaj. Mamy tylko szkic



Fot. dr L. Gorski
Pod ścianą Minin Bogasa



Fot. dr L. Gorski
Widok od pn. na pd.-wsch. część grani Zubców

Bauera, w wielu szczegółach więcej niż wątpliwy. Skutki nie dały długo czekać na siebie. Po kilku godzinach kręcenia się po lesie i różnych wertepach, trafiliśmy — zamiast na polanę Criepulną, gdzie miała być jedyna woda i doskonały punkt biwakowy — na halę *Lokvice* leżącą w leju karstowym na wysokości 1940 m. Ostatecznie postanawiamy tu pozostać.

Hala posiada kilkanaście szałasów i przeszło 1000 owiec. Wody tu wprawdzie nie ma, jak zresztą niemal w całym Dormitorze, jednak pod pobliską ścianą buli leżą wielkie płaty firnu. Wycięte kilofami bryły firnowe topią się na słońcu w drewnianych korytach przed każdym szałasem. Gościnni pasterze pomagają nam w rozłożeniu obozu. Widok naszego namiotu (PT2) wprowadza ich w zachwyt, w jeszcze większy papierosy, którymi ich częstujemy. Wobec wielkich upałów boimy się trzymać żywność w namiocie. Wykopana czekanami dziura pod krzakiem kosówki pełniła rolę spiżarni. Żywność nakryta blokami firnu trzymała się doskonale.

Z pomocą pasterzy próbujemy ustalić nomenklaturę widocznych szczytów. A więc wprost przed nami zielony Medjed (2415 ? m), w głębi szary czubek Slemenia (2458 m), ten trapez na prawo to Milošev Tuk, a obok pękaty Čvorov Bogas (2420 m). Wyzębiona piła spadająca ku nam urwistą ścianą to Tersin Bogas. Najwyższych szczytów nie widać, zasłaniają je przed nami urwiste bule wiszące nad kotliną. Już wiemy, że szkic Bauera ma niewielką wartość dla całej grupy Medjedu i Slemenia. Zbliża się wieczór, stada owiec ściągają z gór na halę. Gotujemy kolację i znikamy w czeluściach namiotu.

25 lipca wymarsz o 6 rano znaczonym szlakiem w stronę Bobotov Kuka. Podejście nie będzie duże, przecież mamy 1940 m. Zrobimy dziś Bobotov Kuk i przejdziemy nie zwiedzoną granią na Bezimienny.

Piękna to była teoria. Wydrapawszy się na brzeg kotliny ujrzeliśmy, zamiast spodziewanej doliny wiodącej w głąb masywu, nową kotlinę podobną bliźniaczo do Lokvic. Więc na dół i w górę. A za nią okazała się trzecia, czwarta i piąta. Po godzinnym kręceniu znaleźliśmy się nad brzegiem małego jeziorka na wysokości 1760 m, nad którym spiętrzyły się w koło 500-metrowe ściany bul. Przez urwiste trawniki i strome pola piargu darliśmy się do góry w stronę małego siodełka obiecującego jakieś wyjście z tej matni. Słońce było już wysoko, a białe ściany wapienne potęgowały blask i upał. Tempo marszu wolniało z minuty na minutę. Upragnione siodełko okazało się wąwozem idącym stromo do góry. Potem znów w dół do nowej, ogromnej kotliny między wielkimi bulami. Aby nam było przyjemniej, wylazł spomiędzy głazów potężny byk i w sposób niedwuznaczny ruszył w naszą stronę z pochyloną głową. Nastąpiła gwałtowna rejterada na skałkę zarosłą gęstą kępą kosówki i narada, co dalej będzie. Tymczasem zjawiło się więcej byków — wkrótce było ich trzynaście — i z widocznym zainteresowaniem krążyły dokoła naszej twierdzy. Zabawa ta trwała przeszło dwie godziny, wreszcie byki pasąc się odeszły dość daleko w drugi koniec kotliny. Co prędzej wynieśliśmy się z tej podejrzanej okolicy. Wyżej jeszcze jedna kotlina wystawiła na próbę naszą wyczerpaną już zupełnie cierpliwość. Około godziny 13 skończyła się wreszcie nasza



Fot. dr L. Gorski
Widok od pn. na nie zwiedzoną część grani Zubców

udręka. Przed nami leżała zawalona śniegami najwyższa kotlina Valoviti Do, a nad nią piętrzyły się granie najwyższych szczytów. Przepięknie rzeźbiony Minin Bogas (2410 m), ponury Bobotov Kuk (2522 m) z prostokątną żółtą plamą urwisk w połowie ściany i nasz dzisiejszy cel — Bezimienny (Bezimeni, 2480 m) z polem firnu dochodzącym w pobliże wierzchołka. Pod ogromnym głazem u stóp Račvana (2470 m) był obiad i wypoczynek, potem mozolny pochód po coraz to stromszym firnie. Potem były stopnie bite butem, a w końcu czekanem i rozpieranie się w pionowej szczelinie brzeżnej i jeszcze paskudnie kruche skałki pod granią. Nareszcie szczyt — pierwszy w Dormitorze, więc specjalnie cenny. Godzina 16 — późno, a grań w stronę Bobotov Kuka urywa się potężnym uskokiem. Trzeba na dziś dać spokój. Wracamy. Bajeczny zjazd po śniegu skrócił ogromnie drogę powrotną.

26 lipca, po przebyciu naszych pięciu kociołków kierujemy się w stronę zębatej grani Tersin Bogasa, która dziś ma być naszym celem. Zrazu kusi nas trochę jego północna ściana, ale z bliska tracimy na nią ochotę. Oślizgłe mchy na obłych, wymytych skalach. Kiep Giewont od północy. Idziemy na Medjed (2415 ? m), a z niego granią na Tersin Bogas. Droga niby łatwa, ale miejscami niesamowicie eksponowana. Skała sypie się jak próchno. Tersin Bogas okazuje się trawiastą bałuchą, która ma tylko ścianę północną, a jego zębata grań jest fikcją. Po drugiej stronie pasą się na niej stada owiec. Schodzimy południową granią na przełęcz bez nazwy łączącą Tersin z grupą Slemenia, a ściśle mówiąc, ze szczytem Milošev Tuk. Przejście na niego wygląda dość łatwo, a cała długa grań Slemenia alpinistycznie nie przedstawia niczego ciekawego. Widać na niej szerokie łachy piargu i pewnie z drugiej strony rośnie trawa jak na Tersinie. Natomiast szeroka ściana północna może być nie lada problemem. Wracamy do obozu. Zwiedziliśmy dziś dwa szczyty i co ważniejsze, mamy dokładny szkic całego masywu Slemenia.

27 lipca od jeziorka trawersujemy pod ścianami Minin Bogasa w stronę głębokiej przełęczy (2250 m) pod Čvorov Bogasen. Tam, gdzieś w pobliżu powinna się znajdować owa dziewicza grań Zubców. Niemcy zdobyli w niej tylko trzy pierwsze turnie, dalsze siedem czy dziewięć są nieruszone. Dziwna przełęcz — składa się właściwie z trzech siodeł ustawionych w trójką z głęboką kotliną po środku. Pomiędzy siodłami stoją trzy wspaniałe monolity o wysokości 40—50 m. Pierwszy podobno nie do wzięcia, na dwóch pozostałych byli Martin i Bauer. Wspinamy się na trzeci, aby zobaczyć dalszą, niewidoczną z przełęczy część grani. Długi, wyzębiony łańcuch turnic ciągnie się ku dolinom. Pierwsze są małe, lecz bajecznie poszarpane, dalsze coraz to większe i łagodniejsze — ostatnia ma ze dwieście metrów, ale jest częściowo trawiasta. Szósta turnia stanowi dwudziestometrowy blok wklinowany w grań; można pod nią przejść wygodnie na drugą stronę grzbietu. Przechodzimy granią aż pod siódmą turnię, resztę zostawiamy na jutro. Potwornie krucha skała.

W nocy z 27 na 28 lipca przyszła burza i lało aż do południa. PT2 wytrzymał próbę celująco. Potem poszliśmy szukać wśród dymiących oparami skał groty lodowej ukrytej u stóp Oblej Glavy, osobliwej kopicy w kształcie głowy cukru, ster-

czącej trzystumetrowymi krzesanicami wśród labiryntu lejków karstowych. Po stromym firnie trzeba zejść w głąb góry ze czterdzieści metrów. Na dole piękna, sklepiona sala z podłogą z błękitnego lodu i śliczne grupy stalagmitów z delikatnych kryształków lodowych. A po wyjściu na górę długo lawirowaliśmy po półkach trawiastych wśród krzesanic, nim znalazło się przejście w kierunku czuba Oblej Glavy. Gdyśmy wrócili do namiotu, znowu rozbłysły światła błyskawic, znowu deszcz bębnił monotonnie po płótnie przez całą noc i większą część dnia następnego. I przeszła jeszcze jedna noc wyiskrzona gwiazdami, a mróz zesztywnił mokre płótna namiotu.

Chwila odjazdu zbliżała się szybko. Dwa dni deszczu poważnie uszczupliły nasze projekty. Trzeba było zrezygnować z dokończenia grani Zubców i próby przejścia z nich granią ku Slemeniowi. Raz jeszcze, 30 lipca próbowaliśmy zrobić grań Bezimienny-Bobotov Kuk i znowu spędził nas deszcz. Dopiero samym wieczorem weszliśmy ostatecznie na najwyższy szczyt Dormitoru, Bobotov Kuk (2522 m), niestety, zwykłym znaczonym szlakiem. Droga była piękna i efektowna, coś w rodzaju Orlej Perci, tylko bez klamer. A ostatni dzień pobytu przypadł w udziale najpiękniejszemu szczytowi Dormitoru: Minin Bogas (2410 m) nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. 31 lipca weszliśmy nań bardzo piękną, chociaż niezbyt trudną granią pn.-wsch. Zejście odbyło się nierobioną pd. granią poprzez dwie turnie bez nazwy na przełęcz pod Zubcami. Na zakończenie zrobiliśmy drugie wejście na trzecią turnię Zubców, jeden z owych trzech potężnych monolitów. Piękna, bardzo trudna droga i po raz pierwszy w Dormitorze po zdrowej, mocnej skale.

Z żalem żegnaliśmy gościnnych górali. A zbiegając śladami perci w stronę Czarnego Jeziora, długo jeszcze słyszeliśmy rozlegającą się w górze ulubioną piosnkę: «Dormitore, Dormitore, visoka planino!»

Przez cały czas pobytu w górach nie spotkaliśmy nikogo. Jednak przy kolacji w gospodzie w Žabljaku jakiś Niemiec oddał mi moją starą kurtkę zapomnianą przed dwoma dniami na wierzchołku Bobotov Kuka.

★

Historia alpinistyczna Dormitoru przedstawiała się do ostatnich czasów bardzo skromnie. W r. 1883 dr Otto Baumann wchodzi jako pierwszy na Bobotov Kuk, w r. 1890 Baldacci zwiedza Slemeń i Savin Kuk, w r. 1891 Hassert — Bobotov Kuk i Medjed. Po wojnie działają tu sporadycznie alpiniści jugosławiańscy, jak Gusič (wsch. ściana Bobotov Kuka), dr Poliak i inni. W 1933 r. Niemcy: A. v. Martin, dr B. Bauer, Obersteiner i Hüttig wchodzą na szereg szczytów, zarówno w Dormitorze jak i w sąsiedniej grupie Maglić-Bioc. W r. 1935/6 Hrvatsko Planinsko Društvo wyznacza drogi na ważniejsze szczyty. Równocześnie budują szosę i zaczyna się reklamowanie Žabljaka jako miejscowości turystyczno-wypoczynkowej. Niedługo może się tam zrobić ciasno, bo przecież Dormitor jest taki mały. Możliwości alpinistyczne są dziś jeszcze dość duże. Szereg pięknych i bardzo poważnych problemów w rodzaju pd. ściany Minin Bogasa czy pn. ściany Slemenia czeka na rozwiązanie. Skała na ogół niemiła: szary wapień nadzwyczaj gładki i kruchy. Większość przejść ma charakter trawkowy, z reguły bardzo eksponowany, a właściwe ściany nasuwają ogromne trudności techniczne. Uderza bardzo silne zaśnieżenie całej grupy, tym dziwniejsze wobec panujących tu w lecie upałów. W końcu lipca spotykałem wielkie pola firnu o grubości 3—5 metrów. Często widuje się tu wspaniałe orły, rzadziej kozice i lisy, a lasy roją się od żmij. Podróżniczo okolica ogromnie ciekawa i osobliwa. Przełomy Pivy i Tary nie mają chyba równych sobie w Europie.

Szkic wykonałem według azymutów pobranych w siedmiu punktach Dormitoru. Za podstawę przyjąłem odległość Bezimienny-Minin Bogas. Nie zwiedzoną część pd.-zach. oraz koty wrysowałem ze szkicu Bauera. Zauważyłem, że koty Medjedu i Tersin Bogasa są stanowczo za wysokie. Nazwy szczytu leżącego między Bobotov Kukiem a Minin Bogasem nie udało mi się ustalić [2]).

Dr L. Gorski

---

[2]) Niemcy nazwali go błędnie «Čvorov Bogas».

ITINERARIUM ÖTZTALSKIE [1])

30 sierpnia 1937 r. Innsbruck. Leje jak z cebra. Gwałtowny, ulewą tnący podmuch föhnu zatrzymuje mnie na progu dworca. Patrzę na błyszczące dachy i chodniki, na szumiące brzegami ulic strumienie, na ociekające wodą parasole. Myślę o tym, że jutro mam iść w góry.

31 sierpnia. Leje w dalszym ciągu. Wściekły, zabieram się do śniadania. Tak mało mam wolnego czasu... Zaczynam zastanawiać się nad przełożeniem «wyprawy» w Karwendel i Kaisergebirge. Zaoszczędzę dwa dni konieczne na dojście i powrót z Alp Ötztalskich — kolejka linowa wyniesie mnie z miasta na 2300 m — i łatwiej znajdę towarzystwo. Ponieważ zaopatrzyłem się wyłącznie w mapy Ötztalu, idę do miejscowej sekcji Alpenvereinu po szczegóły. Deszcz przycichł. Na stokach gór kłębią się ciężkie, ponure chmurzyska. Dotykają niemal wież kościołów. Wtem myśl: tam, powyżej nich, powyżej 3000 m musi świecić słońce. Musi! Nie będę wyczekiwał bez końca pogody — nie ma na to czasu. No i pieniędzy.

O godzinie 2 i pół po południu opuszczam Innsbruck. W Ötz, 40 km od Innsbrucka, przesiadam się do autobusu. Oczywiście deszcz znowu pada.

Rozpoczynam jazdę w głąb zamglonej doliny Ötz. Przelatujemy maleńkie wioski, mroczne lasy, pachnące łąki. Po 43 km — Zwieselstein, ostatnia wioska doliny, położona u jej rozgałęzienia się; na lewo Gurgler, na prawo Ventertal.

Jest już późno po południu. Deszcz ustał. Zostawiam plecak celem wytransportowania go jakimś wehikułem, a sam ruszam dalej, do odległego o 2½ godziny Obergurgl (1927 m). Obergurgl to dwa pierwszorzędne hotele, paręnaście pensjonatów i domków z mieszkaniami dla gości, kilka zwykłych zabudowań, prześliczny strzelisty kościółek otoczony maleńkim cmentarzem: najwyższa parafia Europy — 1930 m — co podkreślają wszystkie prospekty i z dumą każdy mieszkaniec. Po krótkim poszukiwaniu dostaję tak miły pokój z werandą, że ogarnia mnie nastrój «roztocki». Jeśli jutro będzie niepogoda, w co nie wątpię, z rozkoszą wypocznę po blisko 3-miesięcznej, męczącej pracy w mieście. Przed zgaszeniem światła wychodzę na werandę. Staję zdumiony. Mgła, godzinę temu nieprzenikniona, zniknęła bez śladu. Przede mną stoją olbrzymie, nie znane mi zarysy gór, a wyżej, ponad nimi — cudowne, złotymi, wielkimi gwiazdami skrzące się niebo.

1 września. 18 kg na plecach nie jest za dużo, ale przy braku treningu do rozkoszy nie należy. To też z przerażeniem spoglądam po 2 godzinach podejścia na wynurzający się z mgieł Ramolhaus (3002 m). Wysoko, b. wysoko nade mną — mój pierwszy punkt wypadowy. Zaczynam monotonny «pinder» po serpentynach ścieżki,

O pół do dwunastej piję herbatę w schronisku. Zaczynam gawędę z gospodynią. Miejsca do spania dużo, prawie wszystkie miejsca wolne. Ruch turystyczny minimalny, tak że wątpi. czy znajdę towarzysza. Może prędzej w Vent, po drugiej stronie grani. Ale może będę miał szczęście.

I miałem. W godzinę po mnie wchodzi do jadalni ogromny wór mogący śmiało konkurować z moim. Raki Eckensteina, czekan. młoda, sympatyczna twarz. Samotny. Nawiązuję rozmowę. Przemiły chłop, stary wyga górski. Ma też niewiele czasu, zatem program ogromny, szuka towarzysza, jak ja. Jeśli chcę, możemy za godzinę pójść «na spacer».



Fot. dr K. Veiel (Berlin)
Pod nawisem na pd.-wsch. grani Wildspitze

[1]) Wyprawa w Alpy Ötztalskie, odbyta w towarzystwie dr. Konrada Veiela, lekarza z Berlina.

O pół do czwartej jesteśmy na pn.-wsch., śnieżnej grani Vorderer Ramolkogel (3507 m). Kilka wspaniałych nawisów i stajemy u stóp uskoku. Grań tworzy tu szeroką, białą ścianę. Pod szczytem nachylenie tak duże, że miejscami bijemy stopnie. Jak na łatwą drogę, coś za trudno. Krótka narada i rozdzielamy się: dr Veiel woli skalne ograniczenie uskoku, ja — lód. Długim, eksponowanym trawersem wychodzę na grań. Ostre konie śnieżne niosą nas szybko w szczytowe wydmy Grosser Ramolkogel (3551 m), najwyższego szczytu nad Doliną Gurgl. Złote plamy słońca kładą się na śniegach. Pod nami długi, pod przełęcze podchodzący Grosser Gurglerferner, najkształtniejszy lodowiec Ötztalu. Tam gdzie przechodzi w rozległe pola firnowe — Hochwilde (3480 m). Czarne, 250-metowe, niezwykle urwiste ściany strzelają w górę wprost ze śniegów. Wśród scenerii snujących się mgieł wygląda to wręcz nierealnie. Patrzymy jak urzeczeni. Ale czas wracać. Na Vorderer Ramolkogel próbujemy odnaleść zwykłą drogę. W rezultacie pakujemy się w zrujnowaną wsch. ścianę i po dłuższym kluczeniu w chaosie ścianek, rynien i żlebków schodzimy na lodowiec Ramolferner. Śmieję się do towarzysza, że rozwiązaliśmy problem, gdyż «Hochtourist» nie zna takiej drogi. Śladem podejścia wracamy do schroniska. Jutro pójdziemy na Hochwilde.

2 września. 500 m w dół na Grosser Gurglerferner, 700 m podejścia monotonnie spękanym lodowcem na przełęcz między Annakogel (3344 m) a Mitterkamm (3202 m), wreszcie w miękkim puchu na ten ostatni. Przed nami wznosi się skrząca w rannych promieniach słońca pn. grań niższego wierzchołka (3420 m) Hochwilde. Mam rozkosz zakładania śladu w głębokim, cudownie puszystym śniegu. Skały. Kilka wielkich płyt, tu i ówdzie ubezpieczonych, ekspozycja — szczyt. Spoglądamy ku głównemu, pd. wierzchołkowi (3480 m). Oddziela go od nas wąska, przepaścista skalna grań.

Fotografie, śliwki, idziemy dalej. Droga przypomina naszą Orlą Perć w okresie wczesnej wiosny, jest tylko skromniej ubezpieczona. Szczyt.

...Gdy po dłuższej chwili oderwałem wzrok od fantastycznej głębi Dolomitów, od białych kolosów Ortleru i Berniny, od oślepiających pól lodowych Ötztalu, olbrzymią swą masę rozlewających na pn. skłonach głównej grani, od rozemglonej w słonecznym pyle dali nizin, od tego morza szczytów, zamykającego widnokrąg ze wszech stron — gdy spojrzałem na szare zwoje liny leżące wśród szczytowych głazów, na towarzysza, tak jak i ja znieruchomiałego, wtedy spotkały się nasze szczęściem pijane oczy. I zwarły się dłonie w silnym, mocnym uścisku.

Nad dolinami faluje miękkie, ciche morze porannych mgieł. Wracamy.

3 września. Przenosimy się na stronę Vent. W pół godziny od schroniska jesteśmy na przełęczy Ramoljoch (3194 m). Plecaki pod kamienie, a sami, lżejsi o parenaście kilo, wchodzimy po zmarzniętym firnie na Hinterer Spiegelkogel (3431 m). Wspaniała pogoda, bezchmurny widnokrąg, fotografie. Ciekawie rozglądam się po białych graniach kryjących treść naszych najbliższych dni. Dwa szczyty przykuwają wzrok: Wildspitze (3774 m) i Weisskugel (3746 m) — «gwoździe» naszego programu. Pierwszy — olbrzym, 1900-metrową masą dźwigający się wprost z dna doliny, skalnymi obrywami ku nam zwrócony; drugi — lekka, lśniąca piramida firnowa spowita ze wszech stron lodowcami. Najpiękniejszy szczyt Ötztalu.

Wracamy na przełęcz. Lodowcem, potem usypistą moreną dochodzimy do ścieżki prowadzącej do schroniska Samoarhütte (2525 m). Najpierw długo, długo wędrujemy w żarze południa wysoko ponad dnem Niedertal, wpatrzeni w zamykającą jej głębię, wspaniałą lodową ścianę Similauna (3607 m), potem drobnymi serpentynami opuszczamy się w dolinę — i znów mozół podejścia. Koło godziny 2 po południu wchodzimy z rozkoszą w chłód sieni schroniska.

Na jutro mamy w planie lodową pn. grań Hintere Schwärze (3633 m)

(«schwierige Eisarbeit») i graniówkę poprzez szczyty Marzell (3538 m) aż po Similaun (3607 m). Według «Hochtourista» jest to jedna z najpiękniejszych graniówek tej grupy. Sprawdzimy.

4 września. Trzecia rano. Monotonny warkot primusa działa wybitnie usypiająco. Otrzeźwiamy się parzącą herbatą i wspaniałą marmoladą. Ta ostatnia zwłaszcza rozbudza nas zupełnie, wskutek czego niknie cała zawartość słoika. Czwarta. Zakładamy raki i pchamy się lodowcem Marzellferner w górę. Środkową zerwę bierzemy lewą stroną i wychodzimy na górne piętra. Zimny, przejmujący wiatr zjeżdża z bliskiej grani, podnosząc swym szumem dzikość tego zakątka zamkniętego najpiękniejszymi ścianami lodowymi Alp Ötztalskich. Wspaniały Similaun kontrastuje płonącą we wschodzącym słońcu zerwą z błękitnawym chłodem wiejącym od dookolnych ścian. W rynnie przecinającej lody Hintere Schwärze przesypuje się ustawicznie śnieg. Poniżej nas — chaos zerw, szczelin, seraków. Marzellferner. «Stimmungsvolle Gletscherwelt». Przez szczelinę brzeżną osiągamy przełęcz. Wita nas ciepłe, rozkoszne słońce.

Grań. Najpierw trochę skał, potem śnieg, wreszcie lód przysypany cienką warstwą puchu. Maleńki punkt zwornikowy. Nagle grań dźwiga się stromym, bardzo ostrym uskokiem przebłyskującym błękitnym podkładem lodu. Koronka wywieszonych ku pd. nawisów zmusza do posuwania się ponad chłodną głębią pn. ściany. Mamy emocje grani i ściany zarazem. Ostatnie, bardzo eksponowane długości liny są wprost prześliczne.

Trochę wspinaczki skalnej i szczyt H i n t e r e S c h w ä r z e. Długi odpoczynek i «Gipfelgedanken». Ruszamy dalej. Na przełączce spotykamy kilku *alpini.* «Buon giorno» i coś jeszcze w tym rodzaju, krótka rozmowa o naszej i ich marszrucie i nie zatrzymani idziemy dalej. A podobno posiadacze lornetki i aparatu fotograficznego nie zawsze mają przyjemne chwile.

I znowu śliczna grań, tym razem czysto śnieżna. Jest tak wąska i ostra, że nawisy prawie nie miały gdzie się utworzyć, mogę więc rozkoszować się balansowaniem na dosłownie jak nóż ostrym kancie grani. Wolno posuwamy się naprzód, gdyż powietrzność «pierwsza klasa», a asekuracja bardziej moralna.

Ze szczytu pierwszego z M a r z e l l s p i t z e n (3538 m) patrzymy na nasz ślad. Wygląda fantastycznie. No, bo i trochę wariackie było to nasze «ścisłe» przejście grani. Dalej był trud rozmiękłych, głębokich firnów. Wsch. grań S i m i l a u n a wypompowała z nas co się tylko dało. Najpierw lecący piarg, potem po pas głęboki śnieg zjeżdżający po lodowym podłożu i znów piarg, rozsypujące się skałki, z których wchłaniały nas grzęzawiska firnu — i tak bez końca. Wreszcie — wreszcie szczyt. Żarłem niesamowite ilości kostek cukru, fabrykowałem lody śliwkowe i cytrynowe, głuchy na zapewnienia przewodnika, że widok z Similauna należy do najrozleglejszych w Alpach. Było mi to «ganz Wurst».

Gdyśmy już dobrze zmarzli, polecieliśmy w dół. Spod szczytu długi zjazd na czekanie, potem pół-biegiem poprzez pn. ramię Similauna, szus stromą rynną na Lodowiec Niederjoch i paćkanie się po rozmiękłej jego powierzchni szumiącej setką strumieni.

Czoło lodowca, ścieżka, Samoarhütte. Późnym popołudniem schodzimy do Vent (1893 m). Jest to maleńka wioska przypominająca Obergurgl, jednak wskutek braku komunikacji motorowej słabiej uczęszczana, choć pięknem przewyższa tamto niewątpliwie. Zaciekawiony ilością mieszkańców, zapytuję o to gospodarza. «Będzie nas około 65-ciu». — «Tylko tyle?» — «Ach, prawda, w lecie urodziło się czworo dzieci, jest więc teraz prawie 70».

5 września. 1000 m podejścia do Breslauerhütte (2848 m) położonej u stóp Wildspitze. Zostawiamy plecaki i przez «Partschweg» idziemy na szczyt. Na rekonesans. Dłuższy czas ścieżką, potem skałami, wreszcie dość ostrą, kilka wysokich

zębów tworzącą granią osiągamy wierzchołek Ötztaler Urkund (3559 m) tworzącego rodzaj ramienia Wildspitze. Wąska śnieżna przełączka z dużą szczeliną po środku i długi mozół przekopywania się przez głębokie a bardzo strome śniegi pd. grani. Krzyż szczytowy. Cały zach. horyzont zasłaniają spiętrzone w dzikie, fantastyczne formy, tajemnicze obce szczyty. Kaunergrat — najdzikszy grzbiet Alp Ötztalskich. Po środku, wzniesieniem i kształtami wybijający się, wiszącymi lodowcami opancerzony, sławny Watzespitze (3533 m), jeden z najtrudniejszych «Dreitausenderów» Austrii.

Mroźne podmuchy północnego wiatru przynagliły nas do powrotu. Zwykłym szlakiem przez Mitterkaarjoch (3463 m) i Mitterkaarferner wracamy do schroniska. Wieczorem ustalamy plan: *jutro* na Wildspitze pn.-wsch. granią. «Im letzten Anstiege sehr schwierige Eistur». Pojutrze przemarsz pod Weisskugel, a na zakończenie — jeśli pogoda wytrzyma — Glockturm lub Watzespitze.

6 września. Okrążając Ötztaler Urkund dochodzimy do lodowca Rofenkaarferner. Póki się da idziemy bez raków. Górna zerwa. Raki, lina, labirynt szczelin i mostów, seledynowe ścianki seraków — zwykła, a przecież wiecznie nowa i pasjonująca zagadka szlaku.

Jesteśmy pod ścianami grani. Osiąga się ją zwykle miernie nachylonym stokiem, po czym szerokim łukiem od początku jej głównych trudności (P. 3671 m). Lecz my dzisiaj szukamy czegoś extra. Rozglądam się. Nad nimi wiszą piękne nawisy Punktu 3671 m, głębokie cienie rzucając na ściany. Tędy osiągnąć grań byłoby wcale interesujące. «Kupić, nie kupić, potargować można».

W przemrożonym firnie zostawiamy tylko delikatne ukłucia raków. Trzyma wspaniale. Jeszcze jeden stromy zakos i jeszcze jeden. Na wbitym po łopatkę czekanie asekuruję dra Veiela. Podchodzi. Jesteśmy parę naście metrów poniżej grani. Bardziej na prawo powinno łatwiej puścić. Poprawiam węzeł, rękawice i ruszam do boju. Przez niemiły krystaliczny pył, zalegający ostatnie metry, docieram do nawisu. Jest to właściwie pionowa, wyżej nawet lekko wybrzuszona śnieżna ścianka. Ma ze 3—3½ metra. Ale te metry zdają się być usypane z lotnego piasku. Wszystko przy dotknięciu leci w dół z szelestem. Z biedą wychodzę 1½ metra, trawersując skośnie ku górze. Dalej nie mogę. Małe wybrzuszenie zatyka mnie. O zrąbaniu, ba! o wszelkim energiczniejszym ruchu mowy nie ma. I tak czuję, że te stopieńki niedługo stracą cierpliwość. Muszę więc prosto w górę. Pakuję ręce jak się da najgłębiej w śnieg, przytulam się jak najczulej do ścianki i delikatnie podnoszę nogę.

No i oczywiście prawy stopień nie wytrzymał ciężaru ciała, prysnął, a ja miałem sposobność skonstatowania z prawdziwym zadowoleniem, że asekuracja była pierwszorzędna. Pozbierałem się i po chwili siedziałem znów na starym miejscu. Nie puszcza. Cofam się kilka stopni do tyłu i piorę czekanem w nawis ile wlezie. Chcę zmniejszyć nachylenie tej przeklętej ścianki, zrobić jakąś rynnę lub coś w tym rodzaju, bo o «rąbaniu» stopni mowy nie ma. Ale gdzie tam. To tak, jakby ktoś chciał rzeźbić w cukrze krystalicznym. Tu trzeba albo łopaty, albo drabiny.

Z desperacją pcham się ponownie. Zdobywam pół metra, lecz po dłuższym medytowaniu jak przebyć ostatnie, lekko przewieszone metry, bawię się znowu w lotnika. Ląduję prawidłowo na trzy punkty, to jest na głowę i ręce. Wściekły, wracam do towarzysza. Pod nawisem powstała już wcale piękna rynna. Doktór radzi bardzo rozsądnie, by spróbować w innym miejscu, gdzie śnieg będzie twardszy, albo najlepiej wrócić na zwykły szlak. Bo wprawdzie on ma bardzo interesujące widoki, tak jak i ci turyści na Urkundzie, ale czy mnie się to już nie sprzykrzyło?

Wycofać się? Nie, psiakrew, ja to muszę zrobić!

I tym razem jakoś puściło. Ten decydujący stopień w ⅔ wysokości ścianki wytrzymał. Ale że to łatwe nie było, świadczył głos i mina mego towarzysza, gdy wyłonił się na grani. A asekurację miał idealną.

Z ALP ÖTZTALSKICH

Fot. dr K. Veiel (Berlin)



Widok znad Ramoljoch (3194 m; *na pierwszym planie*) ku pd. *W dali* od l. strony: Hochwilde (3480 m), Gurgler Eisjoch (3131 m), Bankspitze (3316 m), Falschungspitze (3353 m), Karlesspitze (3471 m), Schalfkogel (3510 m). *Po środku*, nieco z l. strony Ramolhaus (3302 m) na tle mgieł ponad Grosser Gurglerferner.



Główny, pd. wierzchołek Hochwilde (3480 m) z pn. wierzchołka. W dali, na l. Dolomity (grupy Langkofel, Marmolada i inne).



Widok z Hintere Schwarze na Marzellenspitzen i Similaun (3607 m).

Z ALP ÖTZTALSKICH

Fot. dr. K. Veiel (Berlin)



Na wsch. grani
Grosser Ramolkogel (3551 m).



Na pn. grani
Hintere Schwärze (3633 m).



Na pn.-wsch. grani
Wildspitze (3774 m).



Weisskugel (3746 m) i Innere Bärenbartkogel (3562 m) z Langtauferer Gletscher.

Byliśmy na P. 3671. Potężnymi, obustronnymi nawisami znaczył się nasz dalszy szlak na Wildspitze. Tak go ładnie opisali w przewodniku, że niech mi wolno będzie przytoczyć in extenso krótką jego charakterystykę: «...Hier setzt ein sehr steiler, wächtengekrönter und ausgesetzter Eisgrat an, dessen Überwindung viel Eiserfahrung erfordert. Stufenschlagend geht es auf der Eiskante bei stark überhangenden Wächten in der überaus steilen N.-Flanke zu seiner Ecke..... dann weniger steiler, aber gefährlich zum nahen Gipfel».

Jest jeszcze tak wcześnie, że postanawiamy wejść na Hinterer Brochkogel (3636 m) tą piękną, urwistą krawędzią, która opada na Taschachferner. Schodzimy z Wildspitze jego bardzo stromą pn.-zach. granią, po czym rozległymi polami śnieżnymi wchodzimy na wspomnianą krawędź. Rozpoczyna się 200 m jednostajnego pokonywania wysokości w coraz silniejszej ekspozycji, która zmusza do starannej asekuracji. Monotonia zakładania szlaku automatyzuje myśli i ruchy. O którejś tam godzinie wchodzimy na szczyt. Wyciągam przewodnik i szukam naszej drogi. Przedtem nie miało to sensu, gdyż droga była zbyt prosta. Nie bez zdziwienia konstatuję, że ta tzw. droga Lammera pn. granią jest «sehr schwierig und gefährlich». Jakoś nie mogę się wyznać na tych lodowych trudnościach. Widać za dużo chodziłem w zimie po Tatrach i to mnie zmanierowało.

Poprzez Vernagtjoch (3420 m) i Mitterkaarferner wracamy do Breslauerhütte. Ten dzień czujemy solidnie w kościach.

7 września. Właściwie należał się nam dzień odpoczynku, ale fetysz — Weisskugel (3746 m) nie dawał spokoju. Zbieramy graty i przez Seufert Weg, a dalej ścieżką Brandenburger Steig, przez Guslar- i Kesselwand-Ferner, przez Brandenburger Jöchl (3316 m) — po 6 godzinach marszu docieramy do Brandenburger Haus (3277 m), najwyżej i najkapitalniej położonego schroniska w Alpach Ötztalskich. W okół, jak okiem sięgnąć nic, tylko biel lodów i śniegów, gdzie nie gdzie tylko splamiona skała. Prawdziwy «Gletscherhaus». W okna wtłacza się potężny, niezwykle bliski masyw Weisskugel. Widzimy jego sławną pn. grań, jedno z najpiękniejszych przejść lodowych Ötztalu. Tworzy ją długa, ostra, stromo z wierzchołka opadająca krawędź śnieżna — podobno bardzo trudna. Wraz ze stromymi ścianami nadaje szczytowi lekkie, wykwintne kształty. Więc to już jutro.

8 września. Był to mój najpiękniejszy alpejski dzień. Zaczął się o pół do czwartej rano wyjściem w roziskrzoną noc wrześniową. Z latarką schodzimy na Gepatschgletscher, gdzie doganiamy kilka minut przed nami będących monachijczyków. Zaczynam zwiększać tempo. Jestem w świetnej formie, a zarazem ciągnie mnie przemożny fluid bijący od tej góry. Walimy na wprost bez względu na nietrudny zresztą teren. Przegięciem kostek wyczuwam, że wpakowałem się na jakieś stoki, ale że to skraca drogę, lecę dalej. Teren zaczyna opadać ku zerwom Vernagelwand. Jakaś «mulde» zabiera nam Weisskugel, więc prędzej, jeszcze prędzej. Jest już zupełnie jasno. Zadyszani wybiegamy na krawędź urwiska.

Znieruchomieliśmy. Przed nami Weisskugel płonąca zorzą poranną. Jest tak cudowna, że aż dygocę z zachwytu. Nie, nie potrafię opisać ani jej piękna, ani tego, cośmy odczuwali.

Zostawiamy zasapanych monachijczyków i opuszczamy się serpentynami odrutowanej, zresztą bardzo przepaścistej ścieżki, wykutej w 100-metrowych ścianach skalnych, na Lodowiec Langtauferer (około 2950 m). Teraz lodowcem w górę, pod olbrzymimi blokami lodowymi tkwiącymi w pn. obrywach Langtaufererspitze (3545 m), dalej trawersem przez potężne szczeliny ku lodowemu siodłu w pn. grani, położonemu tuż pod turnią 3130 m. Stromą, czysto-lodową ścianką wchodzimy na to siodło i od razu rozpoczynamy graniówkę. Najpierw wąskie ostrze, potem skałki i duży, płaski stopień śnieżny. Grań przechodzi teraz z bardzo długą, stromą, ku zach. eksponowaną krawędź. Posuwamy się szybko naprzód. Czasem tylko parę

zacięć czekanem lub szczelina biegnąca w poprzek grani zwolni tempo wspinaczki. Wydaje mi się, że cały urok dróg lodowych uzależniony jest od szybkiego tempa — inaczej wpada się w monotonię. Wówczas jedni wracają w przyspieszonym tempie w dolinę, drudzy — zapewne z nudów — rąbią setki stopni bawiąc się ich liczeniem.

Wąziutka, pozioma grań szczytowa Weisskugel. Wierzchołek. I widok tak czysty i niezmierzony, jaki tylko poranek jesienny w przeddzień föhnu dać może. Od Wettersteinu i Karwendel po grupę Brenty, od Grossglocknera i dalszych, nieznanych mi szczytów aż po Ortler, Berninę, Berner Oberland. Wprost nas, na horyzoncie, przewspaniała, groźna, w błękitnym cieniu pogrążona pn. ściana Königsspitze (3857 m). Lornetka wędruje z rąk do rąk. Królewski szczyt, królewska ściana. W godzinę po nas wchodzą na szczyt monachijczycy. Potem druga partia i trzecia. Robi się gwarno. Czas wracać... Wybieramy pn.-wsch. ścianę uchodzącą przy słabym zaśnieżeniu za bardzo trudną. Teraz zjeżdża się wspaniale po jej lodowym podkładzie. W parę minut jesteśmy na Weisskugeljoch (3383 m) i przez Langtaufererferner dochodzimy do naszych porannych śladów. Nimi, zapadając się co krok, osiągamy schronisko.

Późnym popołudniem schodziliśmy największym lodowcem Alp Ötztalskich, szeroko rozlanym Gepatschferner, do niezagospodarowanego schroniska Rauhekopfhütte (2731 m) położonego na skalnej wyspie wśród lodowych zerw. Już po zachodzie słońca weszliśmy do jego mrocznego wnętrza. Otworzyłem zaryglowane okna, pchnąłem ciężkie okiennice. Zapadał mrok. Nad ponurym masywem Glockturmkammu kłębił się wał brunatno-krwawych chmur. Ciężkich, deszczem brzemiennych. Föhn.

9 września. Spaliśmy wspaniale. Nie spieszno nam już było nigdzie, pogoda i czas skończyły się. Czekało nas jeszcze przejście przez Ölgrubenjoch (3013 m) i Sexegertenferner do schroniska Taschachhaus (2435 m), a prawdopodobnie i dalej jeszcze, aż do wioski Plangeross (1616 m) w dolinie Pitz, położonej u stóp Watzespitze. Może zdołamy ubiec niepogodę.

Na Ölgrubenjoch było mglisto lecz sucho. Skusiliśmy się na ostatni szczyt: Hinterer Ölgrubenspitze (3265 m). Na jego skalnej pd. grani złapał nas deszcz, potem grad, wreszcie mokry, wielki śnieg. Z głębi granitowych urwisk podnosiły się mokre, lepkie mgły. I dziwna rzecz: ta dujawica, ulewą siekąca po spękanej twarzy, wydała mi się bardziej realną, bardziej bliską niż te cudowne, złotym, bezchmurnym słońcem i bezmiarem widnokręgu przepojone — białe dni. Gdyśmy wrócili z powrotem do plecaków, wyjrzało znowu na chwilę słońce. Ale już nie na długo.

W schronisku Taschachhaus pijemy mleko, zagryzamy keksem i schodzimy dalej. Przed Plangeross łapie nas po raz wtóry ulewa. Ta już nie ustąpiła.

Gasthaus. Maleńki, przemiły pokoik. Z rozkoszą zagrzebujemy się w miękką pościel wsłuchując się w usypiający plusk deszczu.

Hen, 2000 metrów ponad nami szalała śnieżyca na Watzespitze.

JERZY PIERZCHAŁA

MATERIAŁY DO HISTORII TATERNICTWA

XXX. O PÓŁNOCNEJ STRONIE MAŁEGO KIEZMARSKIEGO SZCZYTU

Z okazji minionej w ub. roku 25. rocznicy zdobycia pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu, chcemy kilka uwag poświęcić dziejom tej ściany, która — chociaż zyskaną sobie po pierwszym przebyciu przez człowieka sławę najtrudniejszego urwiska Tatr utraciła na czas pewien — przedstawia dziś znowu teren największych zadań dla taternika, tak jak zawsze jest i była najwspanialszą konstrukcją skalną Tatr.

Jak wiadomo, pn. ściana Małego Kiezmarskiego Szczytu liczy 900 m wys., jest więc pod względem wysokości pierwszą spośród ścian tatrzańskich. Tylko pn. urwiska Mięguszowieckiego Szczytu dorównują jej wysokością, nie posiadając jednakże tego zwarcia i stromości, a co za tym idzie — potęgi, co «największa otchłań Tatr» [1]). Piękno jej budowy psuje jednak w znacznym stopniu Niemiecka Drabina, ów żleb biegnący w poprzek ściany od kotła 1986 m do przełączki ok. 2230 m *poza* pn.-zach. granią Małego Kiezmarskiego Szczytu i dzielący całą ścianę na dwa, i ie bardzo ze sobą związane piętra, które przedstawiają jak gdyby osobne zadania do rozwiązania. Ta cecha budowy ściany stała się też powodem, że dzieje jej zdobywania przez człowieka przedstawiają się dość skomplikowanie i rozpadają się na różne fragmenty.

Kiedy wszedł człowiek po raz pierwszy w te ciemne krzesanice? Czy dopiero w 1905 r., gdy doświadczony turysta, wiedziony przez dwóch wytrawnych przewodników, po raz pierwszy przeszedł tędy, przez całą Niemiecką Drabinę, na Łomnicę? Czy może o wiele dawniej, w wytrwałym poszukiwaniu złota i skarbów zaklętych, lub może później — ale jeszcze daleko przed erą turystyczną w Tatrach — gdy pracował tu uporczywie przy wydobywaniu rud miedzi? Jest faktem, że poszukiwacze skarbów znali samą Niemiecką Drabinę, a górnicy z końca XVIII wieku przynajmniej dojście do niej — i to nie tylko od strony pn. zboczy Rakuskiej Przełęczy, ale i od strony Doliny Dzikiej. Rzecz prosta, czy już Dawid Frölich w czerwcu 1615 r., a Simplicissimus dacki w końcu czerwca ok. 1650 r. szli tędy ku «Dziadkowi» na swój «supremum cacumen», i czy «wtajemniczona» rodzina Fabry'ch istotnie kopała w tutejszych skałach — nigdy z całą pewnością ustalić się nie zdoła [2]). Dlatego lepiej odtworzyć dzieje pn. strony Małego Kiezmarskiego Szczytu dopiero od r. 1905, kiedy to dr August Otto, interesując się problemem historycznych wejść na Łomnicę, dowiedział się od Ludwika Noacka, że tenże wraz z dr Habelem już w 1899 r. próbował przejść całą Niemiecką Drabinę, jednakże bez powodzenia. Przejąwszy tedy plan poprzedników, dr Otto wziął się z prawdziwie niemiecką pedanterią do rozwiązania problemu, rekognoskował i atakował drogę z całą ostrożnością, próbował ją przejść w 1902, a potem w 1904 r. Wreszcie wycieczka mu się udała: 23 lipca 1905 r. dr August Otto i najlepsi ówcześni przewodnicy spiscy: Jan Breuer i Jan Franz starszy dokonali pierwszego stwierdzonego co do nazwisk i daty przejścia całej Niemieckiej Drabiny (w drodze na Łomnicę). Wszystkie swoje obserwacje i wrażenia z drogi opisał dr Otto w relacji pt. *Der älteste Weg auf die Lomniczer Spitze* w «Jahrbuch des Ungarischen Karpathen-Vereins» z 1906 r., s. 45—55; podkreślił w niej przede wszystkim zupełną łatwość drogi, uważając ją (dość niesłusznie) za najłatwiejszy w ogóle sposób wejścia na Łomnicę (por. również «Tat.» XIV, 106).

Niemiecka Drabina od tego czasu szybko się przyjęła jako teren wycieczek turystyczno-taternickich [3]), zawsze pociągających turystę swoim oryginalnym horyzontalizmem (o ile szedł tędy aż na Łomnicę). Po latach wycieczek letnich (średnio 5—10 w sezonie) przyszła tu pora i na przejścia zimowe, których o ile chodzi o *całość* Niemieckiej Drabiny — znamy dotychczas trzy: 1. przejście — J. Honowska, Z. Krókowska i J. A. Szczepański, 8 kwietnia 1928 r.; 2. przejście: Frieda Kessler, Tibor Gresch, Laszló Jurán i József Petényi, 2 stycznia 1933 r.; 3. przejście — Bertalan Duchon i S. K. Zaremba, 3 stycznia 1933 r. [4]).

Lewym (wsch.) ograniczeniem ściany jest żleb wybiegający z kotła 1986 m na przełączkę między Małym Kiezmarskim Szczytem a niewybitnym garbem Kopy Kiezmarskiej. Żleb ten przeszli pierwsi Kazimierz Drewnowski i Adam Staniszewski, 29 lipca 1908 r., przy czym droga ich (opisana pod nrem 1127 w Przew. Ch. i Ś.), pozbawiona zresztą taternickiego znaczenia, jak się zdaje, nie została dotychczas powtórzona.

Prawym ograniczeniem ściany jest pn.-zach. grań Małego Kiezmarskiego Szczytu. Ta długa i b. piękna a niesłusznie zapomniana grań o średnich trudnościach została przebyta dopiero 3 razy. Zdobyli ją 26 lipca 1912 r.: Alfred Grósz, Tibor Kregczy i Laszló Rokfalusy, następnie w zejściu przebyli tę grań 14 sierpnia 1927 r.: Bela Adámy, Istvan Csorba i Victor Roland, wreszcie trzeciego przejścia doczekała się ona dopiero w r. 1937 (Andrássy i Viroszt, 5 września). Wybitną turnię ok. 2265 m w pn.-zach. grani zwiedził również w zimie J. A. Szczepański, 8 kwietnia 1928 r.; tenże oraz J. Honowska i Z. Krókowska przeszli tegoż dnia górną część całej grani, ponad przełączką ok. 2230 m.

Zarówno jednak przejście Niemieckiej Drabiny jak i wspomniane dotychczas

[1]) Znane określenie Wiesława Stanisławskiego.
[2]) Por. rozprawę Romana Kordysa pt. *Czy Frölich był na Łomnicy* w «Tat.» XIV, 93—104.
[3]) Dr Otto, *l. c.* wyliczył pięć pierwszych jej przejść, które powtórzył «Tat.» XIV, 120—1.
[4]) Por. wspomnienie S. K. Zaremby pt. *Legendarnym szlakiem* w «Krzesanicy» 1933, s. 53—7.

wejścia od pn. — czy, jeśli kto woli, wprost z Doliny Kiezmarskiej — przecinały tylko pn. ścianę względnie poruszały się po jej krawędziach. Pokonaniem samej ściany zajął się dopiero dr Gyula Komarnicki, jeden z najwybitniejszych i największą inicjatywą obdarzonych taterników węgierskich.

W 1912 r. Komarnicki i częsty towarzysz jego skalnych wypraw, Gyula Andor Hefty, wzięli się do rozwiązania problemu przejścia ściany i pierwotnie powzięli zamiar przebycia jej w całości, tj. pokonania również jej dolnych zerw. Weszli w tym celu — dniu 17 sierpnia 1912 r. — w ich l. depresję [5]), ponieważ jednak jej górna część wydała im się w najwyższym stopniu problematyczną (höchst fraglich) i o małym znaczeniu (von nebensächlicher Bedeutung) wobec istnienia łatwego dojścia do kotła 1986 m, zrezygnowali z pierwotnego projektu i w dniu 18 sierpnia 1912 r. zaatakowali od razu górne piętro ściany ponad Niemiecką Drabiną. Prowadził w ścianie Hefty. Wspinaczka nie odbyła się bez wypadku (odpadnięcie Komarnickiego w najtrudniejszym miejscu drogi) ale osiągnęła powodzenie. Po 9 godzinach «einer ununterbrochener Reihe ernstester Schwierigkeiten» ściana została przebyta. Zdobywcom wydała się nie tylko nadzwyczaj trudna, ale po prostu rekordowa. Takie też mniemanie ustaliło się na długie lata. Jeszcze w 25 lat po swym wejściu Komarnicki uznał je [6]) za drogę «die gewisser massen als die Vorläuferin der in jüngsten Zeiten zur Ausführung gelangten, die Lösung der vornehmsten Probleme bedeutenden modernen Tatraturen angesehen werden kann», «jene Bergfahrt, die in den Augen der Tatrabergsteiger noch immer von einem gewissen Nimbus umgeben wird». W istocie jednak w ciągu ćwierćwiecza dzielącego nas od czasu zdobycia ściany, zmieniła się ta ocena zasadniczo. Nikt dziś przejścia z 1912 r. nie nazwie nadzwyczaj trudnym, ani nie będzie go uważał za tatrzański symbol współczesnych najtrudniejszych wspinaczek sportowych. Na takie zaszczytne oceny zasłużyły inne ściany, może nawet z początku mniej docenione, przede wszystkim pd. ściana Zamarłej Turni. Przejście drogi z 1912 r. na pn. ścianie Małego Kiezmarskiego Szczytu znalazło się na poziomie przejścia l. połaci pn. ściany Galerii Gankowej lub wsch. ściany Mięguszowieckiego Szczytu.

Z początku nic jeszcze nie wróżyło tej degradacji grozy ściany. Jej przejściu drugiemu (Franz Adamek, Johann Friess i Adolf Gundelfinger, w 1925 r.) i czwartemu (Paul Illner i Otto Rülke, 13 sierpnia 1926 r.) towarzyszyła sława czynu taternickiego najwyższej miary. Tym bardziej owiane zostało nimbem sportowej niezwykłości przejście trzecie (Karl Stampfel i Akusius Wachs z Janem Franzem sen., 15 sierpnia 1925 r.), które Stampfel opisał w «Turistik, Alpinismus, Wintersport», w zesz. z grudnia 1925 r., z afektacją i dobierając superlatywnych określeń [7]). Dopiero przejście piąte (Alfred i Jan A. Szczepańscy oraz Mieczysław Szczuka, 9 lipca 1927 r.) zmieniło radykalnie poglądy. Uczestnicy tego przejścia ustalili z całą ścisłością *względną* łatwość i względne bezpieczeństwo drogi; ogólna ocena trudności brzmiała: droga częściowo trudna, z dwoma b. trudnymi miejscami — a właściwy czas przejścia zredukowano do 5—6 godzin. Z przejścia szóstego (Bela Adámy, Istvan Csorba i Victor Roland, 14 sierpnia 1927 r.) i ósmego (Ferenc Gretzmacher, Janos Heim, Imre Ivanko i towarzysz, 9 września 1928 r.) nie posiadamy bliższych danych, ale uczestnicy siódmego przejścia (Jerzy Leporowski i dr Mieczysław Świerz, 9 lipca 1928 r.) potwierdzili w całości opinię pierwszych polskich zdobywców ściany; b. gruntownie (powołując się m. i. na świadectwa listowne Komarnickiego) opisał, we wspomnieniu pt. *Nad głębiami*, wrażenia z tej wyprawy Świerz («I. K. C.» z 24. VI. 1929 r.; por. «Tat.» XVI, 143).

Pogorszyło jeszcze ogólną opinię o ścianie wyszukanie w prawej (zach.) połaci jej górnego piętra drogi zaledwie dość trudnej (por. opis w «Tat.» XIV, 18—20), która rychło zdobyła sobie pewną popularność [8]), a nie wiele w ogólnym obrazie zmieniło 1. przejście dolnych urwisk ściany — i 1. przejście jej całości (J. K. Dorawski, A. i J. A. Szczepańscy, 26 lipca 1929 r.) — dokonane na lewej części ściany, w poprzek strugi cieknącej z kotła 1986 m, poza *właściwymi* urwiskami pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu. Wprawdzie te dolne urwiska prze-

[5]) Por. charakterystykę terenu podaną w «Tat.» XIV, 18 i XVII, 122.

[6]) Gyula Komarnicki: *Die Nordwand der Weber-Spitze*, «Die Karpathen», r. IV, 1937, zesz. 6.

[7]) Friess wyraził się, że «Die Wand ist fürchterlich» i ocenił ją jako trudniejszą niż pd. ściana Kopy Lodowej; Franz mówił w czasie pokonywania ściany, że «hier werden wir noch weinen»; Stampfel potwierdził zdania Friessa i oceniał poszczególne trudne miejsca ściany jako «noch mehr als ausserordentlich schwierig», «haarsträubend» itp.; uczestnicy IV przejścia 5 godzin stali przed najtrudniejszym miejscem nie umiejąc się zdobyć na jego zaatakowanie i gotowi byli już wzywać pomocy (ostatecznie przeszedł je na pierwszego Wachs); itd.

[8]) Już z pierwszego jej czterolecia znamy cztery jej przejścia (1. prz.: H. Dębińska-Śliwińska, A. i J. A. Szczepańscy, 26 sierpnia 1926 r.; 2. prz.: Z. Krókowska i S. K. Zaremba, 2 października 1927 r.; 3. prz.: Stan. Drozdowicz, 22 sierpnia 1928 r.; 4. prz.: J. K. Dorawski, A. i J. A. Szczepańscy, 26 lipca 1929 r.) — a niebawem przybyły i dalsze.

stały być wówczas uważane za cel podrzędny i mało wartościowy, ale pozostały jeszcze ciągle — celem [9]).

Po 1929 r. droga Heftyego i Komarnickiego przestała być modnym i szczególniej nęcącym celem. Aż po rok 1937 znamy też właściwie tylko cztery dalsze jej przejścia. 12 lipca 1932 r. dokonali: Krystyna Sinko-Popielowa, Tadeusz Bernadzikiewicz i Tadeusz Pawłowski 2. całkowitego przejścia ściany (dolne urwiska drogą z 1929 r., górne drogą z 1912 r.), co w sierpniu 1933 r. powtórzyli Bertalan Duchon i Mathias Nitsch. Wreszcie wyłącznie drogą z 1912 r. przeszli ponad to (dane nie notowane dotąd w «Tat.») J. Kučera i V. Schmiedhamer, 28 września 1934 r. oraz Inez Kesselbauer, F. Dobšik, B. Duchon, J. Michalek i Z. Vlk, 3 sierpnia 1935 r.

Niebawem doczekała się też ściana przejść zimowych: Z. Korosadowicz i J. Staszel pokonali ją w całości w dniach 13—15 kwietnia 1933 r. drogą z 1929 r. na dolnych urwiskach, a drogą z 1926 r. na górnych (por. «Tat.» XVII, 77—8), a F. Dobšik, J. Michalek i Z. Vlk przebyli 9 kwietnia 1936 r. jej część górną (p. niżej «Itineraria»).

Północna ściana Małego Kiezmarskiego Szczytu utraciła swą glorię, ale w 1932 r. znalazła pełną rehabilitację. Trzeba jednak było w tym celu przejść w dolnym i górnym piętrze środek ściany, co — jak wiadomo — powiodło się Wiesławowi Stanisławskiemu i towarzyszom. W ciągu $1^1/_2$ dnia: 12 i 13 lipca 1932 r. udaje się Stanisławskiemu, w tow. Bolesława Chwaścińskiego i Wiktora Ostrowskiego, sforsować wielki komin żłobiący środek dolnego piętra ściany. Wspinaczkę prowadzili na zmianę Stanisławski i Chwaściński. Z powodu późnej pory, wyczerpania się żywności i niewątpliwie zmęczenia, odkłada Stanisławski na inny raz zrobienie środka górnego piętra ściany i schodzi wraz z towarzyszami przez Niemiecką Drabinę. W trzy tygodnie później, 4 sierpnia zjawia się Stanisławski w ścianie po raz wtóry, tym razem zabierając się w tow. Pawła Vogla do ataku na środek górnego piętra. W 14 godzin później «diretissima» na pn. ścianie Małego Kiezmarskiego Szczytu była skończona [10]).

Nie zatrzymuję się dłużej nad tą zdobyczą, z punktu widzenia sportowego niewątpliwie najwspanialszą w Tatrach. Znana jest ona dobrze z nie tak dawno ostatecznie drukowanych wspomnień (W. Stanisławski: *Ponad największą otchłań Tatr*, «Tat.» XVII, 94—102; P. Vogel: *Pamięci zdobywcy północnej ściany Małego Kiezmarskiego*, tamże, s. 103—5) i opisu technicznego (tamże, s. 122—4). W każdym razie podkreślić trzeba, że pn. ściana Małego Kiezmarskiego Szczytu — która po świetnym sukcesie Stanisławskiego i tow. stała się znów «pod każdym względem najwspanialsza» — znaczenie to do dnia dzisiejszego zachowała. Poświadczyli opinię pierwszych zdobywców zarówno uczestnicy 2. przejścia dolnych urwisk (Z. Korosadowicz i J. W. Żuławski, 31 lipca 1935 r.; p. «Tat.» XX, 24, 106) jak i ostatnio uczestnicy 2. przejścia całości drogi (Cz. Łapiński i M. Paully, 23 i 25 lipca 1937 r.; p. niżej: «Itineraria» i «Skalne Drogi»).

Na jedno jeszcze czeka «diretissima» na pn. ścianie Małego Kiezmarskiego: na całkowite, bez przerywania wspinaczki, przejście dolnego i górnego piętra ściany. A przejście całości w jednym dniu będzie niezawodnie zamknięciem sportowej epopei drogi.

Czy prędko się tego doczekamy?... J. A. Szczepański

ITINERARIA

Mały Kiezmarski Szczyt. 1. wejście zimowe z Doliny Dzikiej oraz 2. przejście zimowe pr. połaci górnych urwisk pn. ściany: František Dobšik, Jozef Michalek i Zdenek Vlk, dnia 9 kwietnia 1936 r. [1]).

Wejścia dokonano po noclegu w schronisku nad Zielonym Stawem Kiezmarskim. Z Dol. Dzikiej droga wiodła mn. w. letnim szlakiem do początku Miedzianych Ławek, po czym drogą 1089 Przew. Ch. i S. na Niemiecką Drabinę. Górne piętro pn. ściany pokonano drogą znalezioną dn. 26. VIII. 1927 r. przez H. Śliwińską-Dębińską oraz braci A. i J. A. Szczepańskich, z odchyleniami narzuconymi przez aktualne warunki zimowe. Po pokonaniu 20-metrowego pasa stromej ściany nad

[9]) I pozostały nim częściowo do dziś, mianowicie w swej prawej części (w linii spadku turni 2265 m w pn.-zach. grani), przedstawiającej obecnie jeden z najryzykowniejszych i najtrudniejszych problemów współczesnej, schyłkowej epoki odkrywczego taternictwa.

[10]) W dwa lata później wyszukano w urwisku — lecz już niejako «na marginesie» właściwej pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu — jeszcze jedną nową drogę: 28 czerwca 1934 r. B. Duchon i M. Nitsch dokonali 1. przejścia pn. ściany Kopy Kiezmarskiej, drogą opisaną w «Tat.» XIX, 183.

[1]) Według «Věstnika K. A. ČS.» z 1937 r., s. 77—8. Jest to to samo wejście, które w «Tat.» XXI, 16, 88 zostało zanotowane mylnie jako «III wejście zimowe pn. ścianą». (*Przyp.* [10]) *i* [1]) *od Red.*).

Niemiecką Drabiną — ku wielkiemu, b. stromemu żlebowi śnieżnemu, którym po twardym śniegu do końca. Stąd ku pr. stronie ok. 50 m polem śnieżnym. Od jego najwyższego punktu wprost w górę przez 100—120-metrowy, obficie zalodzony pas ściany, którą przebyto (nadzwyczaj trudno) w rakach, ale ze względu na małe, olodzone w dodatku chwyty — bez rękawic. Wyżej łatwiejszym już terenem śnieżno-skalnym na pn.-zach. grań i nią na wierzchołek w 10 godzin od opuszczenia schroniska.

Schodzono do Huncowskiej Kotlinki i przez Rakuską Przeł. z powrotem do schroniska nad Zielonym Stawem Kiermarskim.

Pogoda początkowo słoneczna, od południa średnie zachmurzenie. W ścianie silny mróz. Warunki śnieżne b. dobre [2]).

Mały Kiezmarski Szczyt. 3. przejście środkiem dolnych urwisk i 2. przejście środkiem górnych urwisk pn. ściany: Czesław Łapiński i Marian Paully, w dniach 23 i 25 lipca 1937 r. [3]).

Horarium: 23. VII: Zielony Staw Kiezmarski 6h30′; wejście w ścianę 7h00′; Niemiecka Drabina 11h30′; Zielony Staw Kiezmarski 12h45′. — 25. VII: Zielony Staw Kiezmarski 6h00′; pod Niemiecką Drabiną 6h20′; wejście w górną część ściany 8h15′; Mały Kiezmarski Szczyt 12h05′; Rakuska Przełęcz 14h10′; Zielony Staw Kiezmarski 15h00′.

Czas przejścia (8 godz. 20 min.) uzyskany bez żadnego pośpiechu, jako w dużej mierze zależny od sprawności partnera, należy uważać za normalny dla wyrównanej i «zgranej» dwójki wspinaczy [4]).

Trudności dolnej części ściany, ściśle zależne od wilgotności komina, nie odbiegają od oceny zdobywców, z tym że za najtrudniejsze miejsce ściany należy uważać zamieszczony poniżej (w «Skalnych drogach») wariant stanowiący bardziej właściwe i «klasyczne» rozwiązanie tego fragmentu drogi, bo usuwający konieczność użycia żywej drabiny (p. «Tat.» XVII, 123, 2 wiersz od dołu) [5]). Trudności górnej części ściany, zgrupowane do 1/3 jej wysokości, zezwalają w górnych partiach na równoczesne chwilami posuwanie się wspinaczy, co znacznie skraca czas przejścia [6]).

Opis drogi, zwłaszcza w dolnej części ściany («Tat.» XVII, 122), nie nastręcza żadnych wątpliwości, a ze względu na to, że droga wiedzie prawie cały czas ściśle kominem, może być (w przyszłym przewodniku) znacznie zredukowany.

Znalezienie wejścia w górną część ściany, przy niejednokrotnie dużym i zmiennym zaśnieżeniu Niemieckiej Drabiny (rok ubiegły) może zabrać dość dużo czasu, zwłaszcza że wobec przewieszonej tu ściany oraz dużej szerokości i głębokości szczeliny brzeżnej, zejście pod ścianę musi się odbywać jej dnem, zacząwszy już od górnych partii żlebu. M. Paully

SKALNE DROGI

Mały Kiezmarski Szczyt. Wariant w dolnej części drogi środkiem pn. ściany: Czesław Łapiński i Marian Paully, dnia 23 lipca 1937 r.

Z l. kąta «wielkiego tarasu» (p. «Tat.» XVII, 123, 2 wiersz od dołu) początkowo dość szerokim, mokrym kominkiem 2 m w górę, następnie w pr. (nadzwyczaj trudno) na pionową ściankę i nią przy pomocy nader skąpych chwytów w pr. i nieco w górę do małego kominka, którym prowadzi droga zdobywców. Wariant nadzwyczaj trudny, lecz zupełnie nieeksponowany, rozwiązujący próbę podjętą w czasie 1. przejścia ściany (p. «Tat.» XVII, 102, wiersze 10—14 od góry). M. Paully

---

[2]) Por. itinerarium 1. wejścia zimowego pn. ścianą, w «Tat.» XVII, 77—8.

[3]) Por. «Tat.» XXII, 12, 54. — O 1. przejściu tej drogi p. w «Tat.» XVI, 93; XVII, 38, 94—105, 115, 122—4, fot. po s. 96. — O 2. przejściu dolnych urwisk p. w «Tat.» XX, 24, 106. *Red.*

[4]) Naszym zdaniem twierdzenie to należy uważać za trochę ryzykowne. Czasy przejścia muszą być określane dla przeciętnych warunków i dla *przeciętnych dobrych wspinaczy* zdolnych pokonać daną drogę. Dlatego jesteśmy skłonni przyjąć za *przeciętny czas* przejścia środkiem pn. ściany Małego Kiezmarskiego Szczytu (nb. zgodnie z opinią J. W. Żuławskiego) czas 10—12 godz. *Red.*

[5]) Ze względu na to, że wariant ów ani nie prostuje drogi, ani jej nie ułatwia, możemy mu przypisać tylko *sportowe* znaczenie. Stosowania *żywej drabiny* nie uważamy za czynnik, który by pomniejszał «klasyczność» rozwiązania jakiegoś problemu, o ile oczywiście przyczyniła się do najprostszego i najłatwiejszego pokonania danego fragmentu drogi. *Red.*

[6]) Oczywiście takie jednoczesne posuwanie się wspinaczy może być — w tak eksponowanym na ogół terenie, jak będąca w mowie ściana — ograniczone jedynie do odcinków łatwych i w ogóle stosowane wyjątkowo; wiadomo, jak wielkiej uwagi trzeba przy odprężeniu nerwowym po pokonaniu największych trudności. Temat to zresztą nie nowy, poprzestajemy więc na powyższej ogólnej uwadze. *Red.*

KARTA ŻAŁOBNA

† **Zdzisław Kleszczyński** (ur. w Warszawie w r. 1889), znakomity literat i dziennikarz, autor szeregu utworów poetyckich i scenicznych, powieści, przekładów, artykułów i felietonów dziennikarskich, zmarł w Warszawie dnia 6 kwietnia br., przeżywszy zaledwie 48 lat. O ile znane było ogólnie nazwisko pisarza, o tyle niewielu tylko wiadomym był fakt, że Zmarły zetknął się — dorywczo co prawda — z taternictwem. Poznawszy się w Wilnie z inż. Januszem Chmielowskim, który w latach 1910—1912 zbliżył się na terenie pracy zawodowej w Wilnie z ojcem Zdzisława, Aleksandrem Kleszczyńskim — późniejszy autor wiersza o Księciu Józefie — a naówczas (po ukończeniu gimnazjum w Wilnie) student prawa na uniwersytecie w Petersburgu — był latem 1911 r. w Zakopanem i spotykając się często z inż. Chmielowskim, nieraz wyrażał chęć wzięcia udziału w jakiejś *nowej* wycieczce w tow. *prawdziwych* taterników. Zdzisław Kleszczyński był człowiekiem i towarzyszem czarującym, o wielkiej kulturze umysłowej i towarzyskiej, więc też inż. Chmielowski z chęcią zaimprowizował dlań taką właśnie «wyprawę» — na Zamarłą Turnię. Uczestniczył w niej również Mieczysław Świerz. Dokonano wówczas 1. przejścia zach. grani Zamarłej Turni (schodzono na Kozią Przełęcz) i w ten sposób nazwisko Zdzisława Kleszczyńskiego uwiecznione zostało w kronikach taternickich. W jesieni tegoż roku, w Wilnie, namówił go inż. Chmielowski do napisania czegoś o Tatrach i przyrzekł umieścić mu to w wychodzącym podówczas we Lwowie, turystyce i sportowi poświęconym dwutygodniku «Wędrowiec», w którym redaktorem działu turystycznego był dr Roman Kordys. Kleszczyński (już wówczas pisujący wiersze i miewający odczyty literackie w koleżeńskim gronie) z radością tę propozycję przyjął — i istotnie w jednym z numerów «Wędrowca» z r. 1911 (lub 1912) ukazało się wspomnienie tatrzańskie jego pióra.

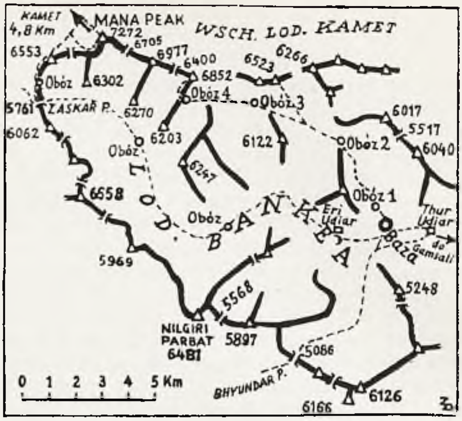
Zdzisław Kleszczyński był «taternikiem» raczej przygodnie, ale od czasu wspomnianej wycieczki żywił wielki entuzjazm dla Tatr, odbył w nich szereg popularnych wycieczek, zawsze (i po wojnie) chętnie w nie powracał. Godnym więc podkreślenia jest fakt, że w druku zadebiutował właśnie w rzeczy poświęconej Tatrom. Szczegół ten bodaj nieznany jest literackim nekrologistom Zmarłego, którzy powszechnie za jego debiut pisarski uważają wiersz o Księciu Józefie Poniatowskim, nagrodzony na konkursie «Tygodnika Ilustrowanego» w setną rocznicę zgonu Ks. Józefa, tj. dopiero w r. 1913. *(xy).*

KRONIKA HIMALAJSKA

Eksploracja alpinistyczna Garhwalu była w r. 1937 przede wszystkim dziełem Franka S. Smythe'a, najwybitniejszego chyba himalaisty doby obecnej. Smythe działał w Garhwalu ok. 3 miesięcy i ma w swoim zeszłorocznym dorobku — oprócz *Mana Peak* (7272 m), o czym już wspominał «Tat.» XXII, 17 — szereg 6-tysięcznych szczytów z potężnym *Nilgiri Parbat* (6481 m) na czele, zdobytym 18 lipca w tow. dwóch «tygrysów»: Wangdi Nurbu i Nusbu Bhotia.

Jeśli chodzi o zdobycie Mana Peak (7272 m = 23860 st.) — był to jeszcze jeden sukces typu «lekkich» wypraw. Jest godne uwagi, że czysto alpinistyczna wyprawa na Mana Peak korzystała w dużym stopniu z doświadczeń wyprawy naukowej, mianowicie topograficzno-geograficznej wyprawy mjr. Gordon Osmastona z r. 1936, dokonywującej wówczas pomiarów Garhwalu z ramienia Survey of India. Mana Peak leży bowiem między wielkimi lodowcami Garhwalu — Wschodnim Lodowcem Kametu i Lodowcem Banke'a, w pobliżu mało dostępnego «Banke Plateau», które odkrył w r. 1936 uczestnik wyprawy Osmastona, por. R. A. Gardiner. Jak wynika ze sprawozdania Smythe'a, ogłoszonego w końcu ub. r. w «Times», wyprawa na Mana Peak była b. poważnym przedsięwzięciem alpinistycznym. Podajemy przeto skrót tego sprawozdania.

Smythe w tow. kpt. P. R. Olivera, członka wyprawy everestowskiej 1936 r., przybył w okolice Mana Peak 22 lipca po przekroczeniu Bhyundar Pass (5086 m). Po założeniu obozu I na wys. 4250 m, obaj alpiniści w tow. tylko 5 tragarzy-«tygrysów» z Darjeeling (4 z plemienia Bhotia i 1 Sherpa) osiągnęli «Banke Plateau». Teren był dość trudny — głęboki wąwóz skalny i język lodowca — tak że alpiniści również musieli nosić bagaże, do 20 kg każdy. Następnie Smythe i Oliver weszli z wyżej założonego obozu II na *szczyt 6523 m* w celu zbadania wsch. strony Mana Peak. W rezultacie skierowano się bardziej na pd., ku najwyż-



Mana Peak i okolice Lodowca Banke'a

szej części plateau (ok. 6000 m). Po przejściowej niepogodzie, 4 sierpnia osiągnięto z obozu IV (był to mały namiot everestowski typu Meade'a położony na wys. ok. 6150 m) po ciężkiej robocie lodowej *szczyt 6852 m*. Okazało się jednak, że dalsza droga, tj. wsch. grań Mana Peak urywa się kilkusetmetrowymi zerwami. Alpiniści nie dali za wygraną, skierowali się ku górnej części Lodowca Banke'a i 10 sierpnia weszli na odkrytą również przez por. Gardinera *Zaskar Pass* (5761 m). Z przełęczy — ostrą, śnieżnolodową granią zdobyto *szczyt 6553 m*, skąd — jak zdawało się — bez szczególnych trudności można osiągnąć pn.-zach. grań Mana Peak. Następnego dnia założono obóz na wys. 6100 m — niżej niż należało, a to z powodu konieczności umocowania lin dla użytku tragarzy. Nazajutrz, 12 sierpnia o godz. 4 rano, po niezwykle zimnej nocy — bardzo szybkim marszem, dzięki uprzednio wyrąbanym stopniom, poprzez *szczyt 6553 m* osiągnięto śnieżne pole pod pn.-zach. granią Mana Peak. Na grań tę wyprowadzało stąd jednak zbocze, które z dala wydawało się śnieżnym, w rzeczywistości jednak było pokrytą puchem śnieżnym ścianą czystego lodu. Przerąbywanie się przez nią mogło potrwać cały dzień, jeśli nie dłużej. Wobec tego jedyną alternatywą pozostała pd. grań Mana Peak.

Aby się nią dostać, należało obniżyć się ku wielkiemu polu śnieżnemu, a następnie wznieść się kilkaset metrów na lodowo-skalną grań. Zajęło to 6 godz. czasu i ok. godz. 10 obaj alpiniści stanęli na właściwej pd. grani. Grań ta składa się z szeregu koni śnieżnych i skalnych turnic. Na początku prawie pozioma, 300 m pod wierzchołkiem staje się ta grań bardzo stroma. Na wys. 7000 m urywa się potężnym skalnym uskokiem o wysokości ponad 30 m.

W miejscu, w którym grań zaczęła się spiętrzać, pozostał Oliver, który — według słów Smythe'a — «już od pewnego czasu wspinał się bardziej siłą woli niż siłą fizyczną». Niedostateczna aklimatyzacja uniemożliwiła Oliverowi wejście na szczyt. Smythe, zachęcony piękną i ciepłą pogodą, kontynuował wspinaczkę samotnie. Jak zaznacza w swoim sprawozdaniu, było to jedno z najtrudniejszych i najefektowniejszych przejść graniowych. Szczególnie emocjonujący był m. i. wypełniony częściowo lodem tunel w grani, przez który należało się przecisnąć. Trzeba dodać, że wszystko odbywało się na wysokości ponad 7000 m, kiedy już mocno odczuwa się wysokość. O godz. 13.30 Smythe stanął na wierzchołku.

W godzinę później był z powrotem przy Oliverze, który odpoczął już i czuł się zupełnie dobrze. O godz. 18 obaj alpiniści znaleźli się z powrotem w obozie. Smythe kończy swoje sprawozdanie słowami, które mówią same za siebie: «Tak zakończyła się największa, najdłuższa i najtrudniejsza wspinaczka himalajska w naszym życiu». *Jor.*

KRONIKA ALPINISTYCZNA

Sezon letni 1937 r. w Alpach Wschodnich[1]). Ogólny obraz ostatniego sezonu alpinistycznego wypadł w Alpach Wschodnich nieco skromniej niż w latach poprzednich. Nie znaczy to oczywiście, aby zmniejszył się pęd wschodnio-alpejskich wspinaczy ku drogom o najwyższej skali trudności. Przeciwnie: przebywanie dróg «skrajnie trudnych» należy dziś niemal do zjawisk codziennych — ale też owe «skrajności» mocno już spowszedniały i nie budzą dziś takiej sensacji, jak jeszcze przed 4 czy 5 laty. Popularność czysto-skalnych wspinaczek coraz bardziej we Wsch. Alpach dominuje nad alpinizmem lodowym. Duch czasu! Co roku powtarza się po kilka razy okrzyczane pod względem trudności ściany czysto-skalne, gdy latami całymi muszą czekać na powtórzenia różne wspaniałe lodowo-skalne urwiska w stylu pn. ścian Grossglockneru i Eiskögele czy pn.-zach. zerwy Glockerinu.

[1]) Źródła: «Alpinisme», «Deutsche Alpenzeitung», «Österreichische Alpenzeitung», «Rivista Mensile del C. A. I.».

Z takich lodowych zdobyczy z ub. lata zasługuje na większą uwagę we Wsch. Alpach bodaj tylko przejście wprost w linii spadku wierzchołka 750-metrowej lodowo-skalnej *pn. ściany Monte Zebru* w grupie Ortleru (alpiniści niemieccy, 6. VIII), z powtórzeń zaś wyróżnia się w tym typie dróg przejście wspaniałej, lodowej *pn. ściany Königspitze* (A. Reinstadler i dr B. Sala, 3. IX).

W Dolomitach nieświetna pogoda znacznie osłabiła wyniki sezonu letniego: *pn. ścianę Cima Grande di Lavaredo* (Grosse Zinne) powtórzono «zaledwie» 4 razy, przy czym jednak prawdziwym sukcesem było samotne pokonanie tego urwiska przez jego współzdobywcę, E. Comiciego (p. «Tat.» XXII, 19). Równie sławna, za trudniejszą nawet uważana *pn. ściana Cima Ovest di Lavaredo* (Westliche Zinne) zyskała jednakże tylko jedno powtórzenie. Z nowych dróg wypada zanotować dokonane przez włoskich wspinaczy 1. wejście 400-metrową, skrajnie trudną *pn. ścianą Corno Medale*, której pokonanie wymagało 29 godz. efektywnej(!) wspinaczki — dalej pierwsze wejścia *wsch. ścianą Cima Tosa* (G. Graffer i B. Detassis, 13. VIII) i *pd. ścianą Cima di Auronzo* (Severino Casara z E. Comicim, 28. VI). Z powtórzeń — prócz przejść pn. ścian Lavaredo — o wyjątkowej sprawności wspinaczej świadczą zwłaszcza takie wyczyny, jak 3. przejście — w 6 godz. zaledwie — sławnej *zach. krawędzi Torre Trieste* (U. Conforto i M. Menti, 5. VIII) lub 2. wejście *pd.-zach. krawędzią Torre Venezia*, dokonane 4. VIII przez znanego przewodnika G. Solda z bratem — w czasie zaledwie 5½ godz. Poza tym znaczną aktywnością odznaczyli się w Dolomitach wspinacze francuscy: P. Le Conte de Poly, R. Michon i panna F. Vitte, którzy przeszli *pn. ścianę Torre del Barancio* (Vitte, Le Conte de Poly), *pd. ścianę Tofana di Roces* i *pd. ścianę Marmolady* (cała trójka), weszli na *Torre del Diavolo* i dokonali całkowitego przejścia *pn. grani Civetty* (Le Conte de Poly, Michon). Wreszcie Martha Lüthi i przewodnik Hermann Steuri przebyli w końcu sierpnia dwie «diretissimy»: na *wsch. ścianie Catinaccio* (sławna droga Hansa Stegera i Pauli Wiesinger) i na *pd. ścianie Tofana di Roces*, uzyskując w obu wypadkach świetne tempo wspinaczki.

W innych łańcuchach Alp Wschodnich wyróżniło się tylko kilka zdobyczy: 7½-godzinne, częściowo skrajnie trudne 1. wejście wspaniałą, 650-metrową *pd. ścianą Torsäule* (w Stubaier Alpen) (Hans Vanicek i Wastl Mariner, 27. VI), pokonanie w 8-godzinnej ciężkiej wspinaczce urwistej *pn.-wsch. ściany Kleine Palfelhorn* (b-cia H. i S. Flatscher), 1. wejście opancerzoną płytami *pn. zerwą Grosse Schneeklammkopf* — którą pokonali: andyjczyk Arnold Awerzger i «stary wilk Grossglockneru», R. Gerin — wreszcie zdobycie 600-metrowej *pn. ściany Östliche Wangenkopf*.

«Sensacyjne» lata alpinistycznych sezonów należą już w Alpach Wschodnich do niepowrotnej przeszłości. *Z. D.*

Eiger (3974 m) granią Mittellegi. W «Tat.» XXII, 77 podałem m. i. wiadomość o rzekomo nieudałym ataku na tę grań, dokonanym przez Lucie Durand i Hansa Haideggera. Okazuje się jednak, że informacje, na których oparłem się wówczas, były nieścisłe. W rzeczywistości bowiem, w dniach 5. i 6. VIII. 1937 r. wymienieni alpiniści dokonali całkowitego powtórzenia tej wspaniałej drogi. *Z. D.*

NOTATKI

Oficjalne otwarcie kolejki linowej do Kamiennego Stawu, będącej pierwszym odcinkiem budowanej kolejki z Łomnicy Tatrzańskiej na Łomnicę, nastąpiło 20 lutego br.

Schronisko w Ciemnych Smreczynach zbudowane zostanie staraniem oddziału K. ČS. T. w Liptowskim Św. Mikułaszu. Schronisko stanie w dolnej części Ciemnych Smreczyn i nosić będzie imię dra Milana Hodžy, obecnego premiera rządu czechosłowackiego.

Alpy niszczeją. Największe góry Europy znajdują się w stadium powolnego, ale nieubłaganego w skutkach rozpadania się form skalnych. Przybiera ono czasem postać tak gwałtownych kataklizmów, że znane w Tatrach transformacje skał na wsch. uskoku Niebieskiej Turni, nad Smoczą Przełączką, czy nawet niekończące się lawiny w żlebach urwisk Jaworowej Grani od strony Dol. Jaworowej — muszą się wydać wobec tamtych zaledwie niewinną igraszką Natury. Oto niedawno z Alp szwajcarskich sygnalizowano dwie wielkie katastrofy tego rodzaju. 7 października 1937 r. 1.500 m^3 skał spadło z grani Tschingelhörner na stronę glaryjską, niszcząc przebiegającą dołem drogę. O wiele jednak potężniejszą była katastrofa, która kilka godzin przedtem zdarzyła się na Jungfrau: w nocy z 6 na 7 października olbrzymia masa skał obliczana na blisko 100.000 m^3(!) oderwała się ze wsch. grani Jung-

frau powyżej Mathildenspitze, spadając wielką lawiną na lodowiec Jungfraufirn. Obnażona w katastrofie ostra grań nastręczy teraz zupełnie nieoczekiwane trudności na szlaku na Jungfrau od wsch.

Dla porównania warto zauważyć, że gdyby np. na tatrzańskim Żabim Koniu urwało się 100.000 m^3 skał, turnia ta przestałaby w ogóle istnieć. *W. Sł.*

Lodowiec zwraca ofiary. Na początku listopada 1937 r. pewien góral znalazł w szczelinie Lodowca Brenva pod Mont Blanc but górski z tkwiącą w nim stopą człowieka, który przed laty niewątpliwie stał się ofiarą lodowca. Przewodnicy z Courmayeur przypuszczają, że stopa i but należały niegdyś do jednego z czterech alpinistów niemieckich, którzy przed 28 laty wyruszyli na Mont Blanc i zaginęli bez śladu.

Uczczenie pamięci Giovanniego Bobby. 12 września 1937 r., w obecności delegacyj alpinistów włoskich i francuskich odsłonięto na portalu kościoła w Valtournanche tablicę brązową ku czci sławnego alpinisty włoskiego, Giovanniego Bobby, zmarłego w r. 1935 (p. «Tat.» XX, 108).

Signum temporis. Mussolini przyznał w r. 1937 sześciu alpinistom medale za najwybitniejsze wejścia alpinistyczne dokonane w XIV roku «ery faszystowskiej»... «Medale złote» za prowadzenie otrzymali: Gabriele Boccalatte (wsch. filar Mont Blanc du Tacul, 28. VIII. 1936), Giusto Gervasutti (pn.-zach. ściana Ailefroide Occidentale, 23—24. VII. 1936) i Gino Solda (pd. zach. ściana Marmolady, 29—31. VIII. 1936). «Medale srebrne I stopnia» otrzymali towarzysze wymienionych alpinistów: Nini Pietrasanta (M. Blanc du Tacul), Lucien Devies (Ailefroide Occ.) i Umberto Conforto (Marmolada). Jak wiadomo, L. Devies jest Francuzem, współredaktorem «Alpinisme» — pozostali odznaczeni są Włochami.

— —

Echa Anschlussu Austrii do Rzeszy Niemieckiej odbiły się szeroko i w austroniemieckim alpiniźmie. Oto parę zapisków kronikarskich:

Deutscher Alpenverein. Jak się łatwo można było domyśleć, istniejące od 70 prawie lat Niemiecko-austriackie Tow. Alpejskie (Deutscher und Österreichischer Alpenverein) zmieniło po Anschlussie swą nazwę na Deutscher Alpenverein.

Swastyka na Grossglocknerze. 22 marca br. trzej tyrolczycy zatknęli flagę ze swastyką na najwyższym szczycie Alp austriackich, Grossglocknerze (3798 m) w Wysokich Taurach. Po Anschlussie bowiem «Król Alp Noryckich» stał się najwyższym szczytem na terytorium obecnej Rzeszy Niemieckiej.

Austriackie czasopisma alpinistyczne przyjęły Anschluss odpowiednio uroczystymi artykułami i oświadczeniami urzędowymi austriackich klubów alpejskich, a w jednym ze znanych pism alpinistycznych zauważyliśmy m. i. fotografię stwierdzającą, że *już* austriacka wyprawa kaukaska 1936 r. zatknęła (zabronioną wówczas w Austrii!) flagę ze swastyką na jednym ze zdobytych wierzchołków... Itp., itp.

— —

Errata. w «Tat.» XXI na s. XIII i na s. 129, w. 13 od dołu, zostało błędnie wydrukowane nazwisko Spannraft. — W «Tat.» XXII na s. 51 przez przeoczenie pozostawiono przypisek odnoszący się do zawartego w *pierwotnym* składzie recenzji ustępu, który przy łamaniu zeszytu został usunięty z powodu braku miejsca. — W «Tat.» XXII na s. 77 u dołu nastąpiła niezawiniona przez redakcję zmiana w złamanej już kolumnie, mianowicie cały ustęp zaczynający się w nowym wierszu od słowa: «Uzupełniając.....» i będący w rzeczywistości *dalszym ciągiem przypisku* [1]), został błędnie przestawiony do tekstu. — W «Tat.» XXII na s. 83, w. 19 od dołu, *jest*: «Alpisme», *powinno być*: «Alpinisme».

SPRAWY OCHRONY PRZYRODY TATR

Zakończenie prac czechosłowackiej komisji Tatrzańskiego Parku Narodowego, będącej organem międzyministerialnym z dodatkiem grona fachowców, nastąpiło z końcem 1937 r. Został złożony rządowi praskiemu ostateczny projekt organizacji Parku Narodowego na terenie Tatr czechosłowackich, z szeregiem planów i zaleceń idących jak najdalej po linii ochrony przyrody i krajobrazu Tatr. Projekt ten wywołał już obfitą dyskusję prasową na łamach różnojęzycznych czasopism w Czechosłowacji i stał się celem silnych i nie przebierających w argumentacji ataków ze strony kół dążących do przemysłowo-handlowego wykorzystania w pełni Tatr — patrzących na Tatry wyłącznie jako na obiekt ekonomiczny (do tego patrzących krótkowzrocznie i fałszywie). Znamy to już z własnego terenu!

Dodatkowo należy poinformować Czytelników, że prasa przeciwna Parkowi Narodowemu opiera się w Czechosłowacji na nieszczęsnej enuncjacji ministra robót publicznych Dostálka, który wypowiedział się za budową w Tatrach hoteli wysokogórskich, licznych wyciągów linowych oraz szos samochodowych do Zielonego Stawu Kiezmarskiego, do Wielickiego Stawu, do Popradzkiego Stawu i do

Stawów Hińczowych (z możliwością budowy «alpejskiej» szosy przez Koprową Przełęcz i Dolinę Hlińską do Doliny Koprowej)... *A la bonheur!* przecież u nas pewne osoby i grupy czekają tylko na to, by się ze swymi planami dołączyć do tej sieci. Wiedzmy, co nam grozi — i skąd. Stale czuwajmy! *w. mil.*

Stanowisko Zarządu Głównego P. T. T. w sprawie sytuacji jaka się ostatnimi czasy wytworzyła wskutek systematycznej akcji niszczycielskiej pewnych kół na terenie polskich Tatr Wysokich — znane naszym Czytelnikom z obszernych sprawozdań w «Wierchach» z dziedziny spraw związanych z ochroną przyrody — podkreślone zostało na posiedzeniu Zarządu Głównego dn. 7. XI. 1937 r. dwoma jednomyślnymi uchwałami. W pierwszej z nich Zarząd Główny P. T. T. wyraża głęboki żal z powodu ustąpienia prof. dr. W. Szafera ze stanowisk związanych z ochroną przyrody, a wskazując na («Od szeregu lat) powtarzające się w Tatrach akty samowoli» — «zwraca się do czynników miarodajnych z usilną prośbą, aby przywrócono w Tatrach stosunki praworządności i zapewniono warunki dla wykonywania prac nad ochroną przyrody». W drugiej uchwale Zarząd Główny P. T. T. przyłącza się na wniosek Komisji Ochrony Gór P. T. T. do uchwały Oddziału Poznańskiego P. T. T. w sprawie wydarzeń w Tatrach (p. «Tat.» XXII, 21).

Jak dotąd, efekt tych licznych protestów i zabiegów jest żaden. A przecież zdawałoby się, że w państwie cywilizowanym i kulturalnym walka z bezprawiem powinna być równie energiczna, jak uzasadnione przeciwko temu bezprawiu protesty. *(z—w).*

Oddziały P. T. T. przeciwko akcji niszczycielskiej. Odbyte w bież. roku Walne Zgromadzenia oddziałów P. T. T., Poznańskiego i Warszawskiego uchwaliły rezolucje protestujące przeciwko anty-ochroniarskiej akcji na terenie Tatr Polskich. Rezolucja Oddziału Poznańskiego P. T. T. została przesłana wysokim czynnikom rządowym.

W Szwajcarii — działająca tam Liga Ochrony Przyrody wielokrotnie w ostatnich latach bywała zmuszana do przeciwdziałania niszczycielskim pomysłom uzasadnianym w imię rzekomych tzw. «konieczności gospodarczych». Trzeba też stwierdzić, że Szwajcarska Rada Związkowa w wyniku tych interwencyj niejednokrotnie odmówiła pozwolenia na budowę kolejek linowych, dróg, gospód itp., o ile inwestycje te zagrażałyby charakterowi krajobrazu. Jak wiadomo, Szwajcaria należy do najkulturalniejszych krajów świata. Jak wiadomo, *u nas* od dawna ignorowane są opinie *nawet* stworzonej przez czynniki *rządowe* Państwowej Rady Ochrony Przyrody... *W. St.*

Z PIŚMIENNICTWA

Věstnik Klubu alpistů československých. Rocznik IV. Praga 1937. Zeszyty 1—6. Str. 118 i 4 nlb., 17 fot., 1 rys. i 1 mapka w tekście. Redaktor: dr Karel Kuchař.

Jeśli omawiając II rocznik «Věstnika» zaczęliśmy od stwierdzenia, że stanowi on «w rozwoju wydawnictwa bez wątpienia spory krok naprzód», to z jeszcze większą słusznością możemy to samo powiedzieć o roczniku IV. Na temat zmian, jakie w «Věstniku» zaszły ub. roku, pisał zresztą osobno «Tat.» XXI, 210, pewne sprawy poruszane w tym dwumiesięczniku omawiane były w «Tat.» też parokrotnie (XXI, 134; XXII, 80) i na tym miejscu nie będziemy już do nich powracać. W każdym razie, mając przed sobą cały rocznik IV «Věstnika», musimy raz jeszcze z prawdziwą przyjemnością podkreślić szeroką rozpiętość zainteresowań, którym wyraz dała nowa redakcja pisma i cały zespół redakcyjny (komitet) — gdzie nb. obecność dra Františka Kroutila i dra Jana Gellnera jak najlepsze już wydała owoce. Obaj ci zasłużeni na polu czechosłowackiego ruchu wysokogórskiego pracownicy w największej bodaj mierze przyczynili się do podniesienia poziomu «Věstnika». Dr Gellner swymi sumiennymi omówieniami alpinizmu światowego (w zesz. 1, 2 i 3: *Horolezectví v r. 1937* — w Kaukazie, Himalajach, górach Ameryki, Alpach i Tatrach, a w zesz. 6 — artykuł o trzech ostatnich wyprawach na *Nanga Parbat*), dr Kroutil obszerną rozprawą programową pt. *K vyššim cílům* (zesz. 3), wskazującą «drogę do wielkości» czechosłowackiego alpinizmu — a z drugiej strony redakcja «Věstnika» (znów przy decydującym współudziale obu autorów «Horolezeckeho průvodce»!) rozbudowaniem *Tatrzańskiej Kroniki* (od opisów nowych dróg po zagadnienia ochrony Tatr) — nakreślili pismu program, któremu nie można odmówić celowości i którego kontynuowanie, pogłębianie i rozszerzanie powinno przynieść (teoretycznie rzecz biorąc) jak najlepsze skutki. Moglibyśmy wprawdzie wskazywać na pewne braki czy usterki; moglibyśmy wytknąć dr. Kroutilowi, że we wspomnianej już rozprawie, wobec dzisiejszego stanu rzeczy w ta-

ternictwie mniej nacisku powinien kłaść na wartości ukryte w zdobywaniu nowych dróg, a przynajmniej podkreślić, że jednostronna pogoń za nowymi drogami stanowić może w Tatrach dzisiaj jedynie środek do spaczenia zdrowego podejścia do taternictwa; moglibyśmy też zarzucić redakcji, że nie zdołała w szerszym stopniu wprowadzić na łamy pisma — Tatr, w których w istocie rzeczy leży przyszłość czechosłowackiego ruchu wysokogórskiego. Zarzuty takie jednak w niczym nie mogłyby umniejszyć godnego uznania wysiłku, z jakim pracę swoją dla dobra tego ruchu prowadzi cały zespół redakcyjny. Należy też mieć nadzieję, że jak obecnie w «Věstniku» opisy wejść Alpach (np. w zesz. 1, 2 i 4) czy na Olimp (w zesz. 5), tak w przyszłości obszerniejsze wspomnienia z wielkich wypraw tatrzańskich będą wykładnikiem zasadniczego tonu działalności górskiej większości czynnych członków. K. A. ČS. — gdyż, jak dobrze wszyscy wiemy, dla naszych południowych sąsiadów (jak i dla nas) droga do Alp i w górski egzotyk prowadzić może tylko przez Tatry.

Należy podkreślić, że w roczniku IV po raz pierwszy zajął «Věstnik» stanowisko wobec toczących się dziś sporów między ideą bezwzględnej ochrony Tatr a dążeniem do ich «zagospodarowania». O dawniejszych notatkach na ten temat wspominał już «Tat.» XXI, 210, zaś ogłoszone w zesz. 6, r. IV «Věstnika» i jeszcze nie zakończone obszerne rozważania dra Kroutila pt. *K regionálnímu planu Vysokých Tater* zreferujemy osobno w następnym zeszycie «Taternika».

Na zakończenie wypada stwierdzić widoczne starania redakcji «Věstnika», aby mimo szczupłości miejsca podciągnąć w każdym szczególe poziom wydawnictwa. Przejawiło się to również pod postacią rozszerzenia działu recenzyj, a za szczęśliwy krok uznać także trzeba wprowadzoną z początkiem bież. rocznika zmianę nazwy pisma na «Horolezec» («Věstnik Klubu československých alpistů» został jako podtytuł) i danie zeszytom sztywnej okładki o estetycznym wyglądzie. *Ż. D.*

«Krásy Slovenska». *Časopis venovaný turistike, športu a jaskyniam.* Organ Slovenskej komisie K. ČS. T., Spolku tatranských horolezcov JAMES itd. Rocznik XVI, 1937. Zvolen. Zeszyty 1—10. Str. 236 i 4 nlb., 115 fot., 18 rys. i 1 mapka w tekście. Redaktor: L'udovit Izák (Nový Smokovec).

Jeśli weźmiemy pod uwagę obszerną dziedzinę słowackiego krajoznawstwa, któremu w najszerszej mierze poświęcone są «Krásy Slovenska», to wkład tematów tatrzańskich, a nawet ściśle taternickich musimy ostatnimi laty uznać za zupełnie pokaźny w całokształcie bogatego materiału, jaki corocznie przynosi to starannie redagowane i pięknie na kredowym papierze drukowane czasopismo. Wśród materiału tatrzańskiego ostatniego rocznika (który zresztą pod tym względem, w porównaniu z rocznikiem XV, wykazuje jak gdyby pewne osłabienie) wybitne miejsce zajmują artykuły znanego i zasłużonego historyka i monografisty turystyki tatrzańskiej i słowackiego krajoznawstwa, inż. Ivana Houdeka, który znów ogłosił kilka szkiców. Są to: *Výstup na Gerlachovský štít roku 1879* (zesz. 1) — o wejściu na Gierlach, jakiego w dniu 19. IX. 1879 r. dokonał Václav Vraný z 5 tow. i przewodnikiem; *Niečo z minulosti* (przeszłości) *Vysokých Tatier* (zesz. 2); *Prví dobyvatelia L'adového štítu* (zesz. 6) i wreszcie *V Malej Studenej doline* (zesz. 9) — rodzaj monografii Dol. Zimnej Wody. W artykule tym, podając dla Lodowego Stawku w Dol. Lodowej (*Modré pliesko*) wys. 2180 m[1]), autor zwraca uwagę, że ten właśnie stawek jest najwyższym stawem tatrzańskim, a nie — jak to się w literaturze tatrzańskiej przyjęło — Furkotny Staw Wielki Wyżni (*Vyšné Wahlenbergovo pleso*, 2154 m). W zesz. 8 wreszcie inż. Houdek polemizuje z niektórymi twierdzeniami, jakie w «Wierchach» z 1936 r. wysunął W. Mileski omawiając «Osudy Vysokých Tatier» (por. «Tat.» XX, 236).

Jak i w poprzednim roczniku, przyniosły «Krásy» szereg opisów nowych dróg w Tatrach i kilkakrotnie rejestrowały aktualnie różne tatrzańskie wspinaczki. Niestety, daje się często zauważyć zupełne nieliczenie się «Krás» z nomenklaturą tatrzańską; Durny Szczyt jest w «Krásach» nazywany raz... «Pyšný štít», zaraz poniżej «Lastovičia veža»; Mały Lodowy Szczyt figuruje raz jako «Široka veža», aby o parę wierszy dalej zmienić nazwę na.. «Malý l'adový štít»; wszystko to byłoby jeszcze niewinne, gdyby nie to, że w każdej z takich par wyliczone zostały dwukrotnie (jako zupełnie inne!) te same wejścia... (p. ss. 152, 153 i 192). W przyszłości przydałaby się większa skrupulatność w tej dziedzinie — i ze strony redakcji i ze strony informatorów «Krás».

Ogłoszony w «Věstniku K. A. ČS» artykuł dra Kroutila: *K vyšším cílům* — jak zresztą w części i dawniejsze krytyczne uwagi dra Gellnera o czechosłowackim ruchu wysokogórskim (por. «Tat.» XXI, 134) — spowodowały w «Krásach» ostre niekiedy w formie wystąpienia polemiczne (A. Veverka: *K vyšším cílům*

[1]) W Przew. Ch. i Ś. oraz na mapie T. Zwolińskiego 1:40.000 — 2157 m.

w zesz. 6; anonimowa notatka tamże na s. 141; Jožo ŠIMKO: *Pravda o našom tatranskom horolezectve* w zesz. 7). Niestety, więcej się można w tych reakcjach dopatrzeć ubocznych zadrażnień, niż rzeczowo uzasadnionej krytyki. W całości zresztą czynią «Krásy Slovenska» wrażenie nader miłe. Jeśli wymienimy jeszcze szkic V. HAYNA: *Turistika a horolezectvo* (zesz. 7), wspomnienie A. VEVERKI z wejścia na *Jungfrau* (zesz. 10), artykuł Jožo ŠPITZA o katastrofie 1937 r. na *Nanga Parbat* (zesz. 6) i uwagi J. ŠIMKI o zimowym uzbrojeniu wysokogórskim (zesz. 2), to otrzymamy nader urozmaicony w ubiegłym roczniku całokształt tematów wysokogórskich. Dla nas specjalnie sympatycznym objawem jest stosunek «Krás» do «Taternika», którego recenzje z dwóch ostatnich roczników «Krás» w dosłownym tekście polskim przedrukowano, a którego rocznik XXI został obszerniej omówiony w zesz. 9 przez J. Š[IMKĘ], przy czym w recenzji znaleźliśmy wiele miłych dla nas słów.

Ilustracyjna strona «Krás Slovenska» stoi na b. wysokim poziomie, a niektóre zdjęcia są wprost znakomite. *Z. D.*

«Die Karpathen». *Turistik, Alpinismus, Wintersport.* Rocznik IV. Kiezmark 1937. Zeszyty 1—6. Str. 144. Redaktor: inż. Oskar ZUBER.

Dwumiesięcznik «Die Karpathen» — jedyne dziś, jak wiadomo, stałe wydawnictwo turystyczne Niemców spiskich — w r. ub. przedstawiało się nieco okazalej niż przed dwoma laty (por. «Tat.» XXI, 223), nie tylko wskutek pewnego rozszerzenia zwykłych działów artykułowych i sprawozdawczych, ale przede wszystkim dzięki paru interesującym wspomnieniom i opisom, z których wymienimy Hildy BERGER *Die Weisse Seespitze im Winter* (zesz. 1) i dra J. LIPTÁKA *Georg Buchholz d. J.* (zesz. 4). Specjalną uwagę zwraca ponad to wspomnienie pt. *Die Nordwand der Weberspitze* (zesz. 6) napisane przez naszego wypróbowanego przyjaciela i członka honorowego Klubu Wysokogórskiego P. T. T., dra Gyulę KOMARNICKIEGO. Autor przypomina swą wyprawę z okazji 25-lecia zdobycia ściany i uważa ją za swoje najlepsze osiągnięcie sportowe w Tatrach. Choć się przy tym zarzeka liryzmu i melancholii, patrzy przecież na swój wyczyn oczami człowieka oddalającego się od gór; inaczej nie możnaby sobie wytłumaczyć — u autora ścisłego przewodnika po Tatrach! — podawania wysokości ściany na «rund 1000 Meter».
n. d.

KORESPONDENCJA

Z POWODU RECENZJI Z XV R. «WIERCHÓW» W «TATERNIKU» XXII, 53—55

W związku z wymienioną w tytule recenzją otrzymaliśmy obszerne pismo polemiczne od red. J. A. SZCZEPAŃSKIEGO, autora poddanych w recenzji krytyce sprawozdań wysokogórskich zamieszczonych w XV r. «Wierchów». W swoim szczegółowo motywowanym liście red. S. twierdzi, iż postawione mu w recenzji zarzuty są niesłuszne, w szczególności zaś, iż omawiając alpinizm polski w 1937 r., rzeczowo i konsekwentnie napisał, że *«liczono na więcej niż na wejścia na Dent du Géant, Matterhorn itp. zwykłymi drogami»*, *«ponieważ porównywał poziom średni wyprawy z 1937 r. z poziomem średnim wypraw ubiegłych, osobno porównując zdobycze czołowe; co do tych ostatnich zaś, sąd polski nie może odbiegać od poglądów przyjętych w alpinizmie francuskim, gdzie m. i. przejścia pd. ściany Meije, Grani Peuterey i Grani Innominata mają od dawna ustaloną pozycję»*. Również — zdaniem autora listu — słuszną była zamieszczona w «Wierchach» ocena polskich wyników taternickich w 1937 r., czego jeśli chodzi o taternictwo zimowe, dowodzą m. i. kroniki «Taternika», wedle których *«w zimie 1934/5 r. uprawiało czynnie taternictwo 15 osób (z polskiej strony), w zimie następnej 17 osób, a w zimie ostatniej (1936/7) 11 osób (pomijając już fakt powtarzania się wciąż tych samych nazwisk)»*.

Wreszcie w odpowiedzi na zarzut, iż autor listu «robi panikę z powodu ...rozwoju taternictwa słowackiego» itd. aż do wiersza kropek («Tat.» XXII, 55), red. S. pisze co następuje: *«Wynika z tego ustępu, że ja usiłuję — w sposób obcy i niesympatyczny, który trzeba jak najkategoryczniej odrzucić — siać jakąś nienawiść narodową pomiędzy taternikami, że boleję nad sukcesami sąsiadów i wzywam do jakiejś boiskowej rywalizacji. Zarzuty te muszę nazwać szczególnie przykrymi i krzywdzącymi. Ktokolwiek zna moje poglądy ideologiczne (por. zwłaszcza «Tat.» XV, 32 i XIX, 165), wie dobrze, jakie są moje zapatrywania na współzawodnictwo i rekord i jak pojmuję ich dodatnie znaczenie. Ktokolwiek zaś czytał moje uwagi o taternictwie słowackim i czeskim — a miałem sposobność wypowiadać je niejednokrotnie! — wie, że zawsze byłem jak najdalszy od jakiejkolwiek niechęci czy fobii i że przeciwnie — pisałem o taternikach z Czechosłowacji zawsze w duchu pozytywnego uznania i życzliwości (p. «Tat.» XIX, 187; XXI, 209-10). Pisałem m. i.: «możemy zapewnić, iż wszelkie poczynania zmierzające do rozwoju taternictwa w Czechosłowacji, darzymy jedynie sympatią i życzeniami powodzenia». Przy tym pisałem te słowa w «Taterniku» nie gdzie indziej (XIX, 187), miałem więc prawo przynajmniej w «Taterniku» spodziewać się bardziej bezstronnej oceny»*.

Ponieważ zamieszczenie in extenso pisma red. S. pociągnęłoby za sobą konieczność ogłoszenia in extenso również odpowiedzi autora recenzji z XV r. «Wierchów», Z. DĄBROWSKIEGO, który nadal nie godzi się z częścią wywodów red. S., a z drugiej strony drukowanie całej, niezbyt ciekawej dla Czytelników dyskusji byłoby połączone ze zbyt poważną stratą miejsca — ograniczamy się do podanego powyżej, z red. S. uzgodnionego streszczenia zasadniczych punktów jego listu. Ze wzmiankowanej odpowiedzi musimy podać jedynie punkt dotyczący zacytowanego obszerniej ustępu z listu red. S. Odpowiadając nań Z. D. stwierdza mianowicie, że *«Wniosek, jakobym zarzucał kol. Szczepańskiemu sianie jakiejś „nienawiści narodowej pomiędzy taternikami" (?) jest najzupełniej dowolną i nie pozbawioną fantazji interpretacją moich uwag w «Tat.» XXII, 55, powyżej wiersza kropek. Jakakolwiek więc, wynikająca na tle takiej interpretacji dyskusja staje się najzupełniej bezprzedmiotowa»*.
Red.

— — — — — — — — — — — — — — —

POST SCRIPTUM. «Krásy Slovenska» XVII (1938) w zesz. 1 na s. 22-3 przynoszą podpisaną *J. Š.* notatkę pt. «Hlasy z Poľ'ska». Przedrukowany w niej został dosłownie cały ustęp z artykułu J. A. Szczepańskiego pt. «Taternictwo w Czechosłowacji na nowej drodze». («Tat.» XXI, zesz. 6), w którym autor (na s. 210) wyraził swój pogląd na taternictwo słowackie. Nadmieniając, że «*Spolok tatranských horolezcov «James» nielen že bol, ale je a Boh dá, i bude vedúcou horolezeckou organizáciou v ČSR*», zauważa następnie p. J. Š[imko], że właśnie dzięki krytykowanym przez siebie w «Tat.» XXI, 210 kursom wysokogórskim «James'u» mógł p. Szczepański napisać w «Wierchach», że już w r. 1937 «trzy najwybitniejsze ...nowe drogi są własnością słowacką nie polską». W końcu cytuje p. J. Š. cały ten ustęp z recenzji Z. Dąbrowskiego z XV r. «Wierchów», w którym idea koleżeństwa taterników polskich i słowackich przeciwstawiona została pojęciu konkurencji (tj. od słów «I wreszcie sprawa ostatnia» aż do wiersza kropek na s. 55 «Tat.» XXII). Zdaniem p. J. Š., głos ten «*najde i v našich horolezeckých kruhoch pochopenie. lebo ani my sme nikdy nevideli v poľských taternikoch konkurentov, lež priateľov v horolezectve vyspelejších, ktorí však sú tiež ľudia, prichádzajúci do hôr z vnútornej* (wewnętrznej; *przyp. red.*) *potreby a nie z túžby vavrinových vencoch rekordomanov*».

Z krytyki wypowiedzianej przez red. Szczepańskiego pod adresem «James'u» w «Tat.» XXI, 210, a wynikającej z jego osobistych poglądów na taternictwo, p. J. Š. najwidoczniej wywnioskował... o jakimś uprzedzeniu red. S. w stosunku do taterników słowackich w ogóle. Mianowicie w zamieszczonej w tym samym zeszycie «Krás Slovenska» (na s. 23), b. pochlebnej zresztą recenzji z XV r. «Wierchów», p. J. Š. obszerniejsze uwagi kreśli na marginesie zamieszczonego w «Wierchach» omówienia przewodnika po Tatrach drów Kroutila i Gellnera (s. 242), pióra red. S. «*Recenzent (jaszcz)* — pisze m. i. p. J. Š. — *si neodpustí, aby a j p r i t e j t o príležitosti nedal na javo, že nesympatizuje so slovenskými horolezcami*» (p o d k r. nasze; *red.*). Otóż ze swej strony krótko stwierdzamy, że gdy chodzi o stosunek do taternictwa naszych sąsiadów z za tatrzańskiej granicy, ze względów zasadniczych jest wykluczone, abyśmy drukowali głosy na ten temat, pochodzące od autorów nieprzyjaznych słowackiemu taternictwu. Poza tym, abstrahując od kwestii godzenia się czy niegodzenia z poglądami red. Szczepańskiego na działalność «James'u», *krytyki* nigdy ani nie utożsamiamy z *uprzedzeniem*, ani nie uważamy za przeciwstawienie przyjaźni, w stosunku do taterników słowackich z naszej strony najszczerszej.

SPRAWY KLUBU

Obóz treningowy w Alpach Zachodnich w lecie 1938 r.

Zarząd Klubu Wysokogórskiego P. T. T. postanowił zorganizować latem br., w miesiącach lipcu i sierpniu, na okres 6 do 8 tygodni, o b ó z t r e n i n g o w y w Alpach Zachodnich włoskich, celem umożliwienia członkom Klubu dalszego doskonalenia się w technice lodowcowej i lodowej. Obóz będzie prowadzony przez kierownika wyznaczonego przez Zarząd Klubu. Kandydaci na obóz (członkowie z w y c z a j n i Klubu) winni zgłoszenia kierować do Komisji Wypraw Klubu Wysokogórskiego P. T. T. (Warszawa 1. Ul. Żurawia 9 m. 1), podając jednocześnie wysokość sumy pieniężnej, jaką mogą przeznaczyć na pokrycie kosztów pobytu w Alpach. Zarząd Klubu poczyni starania o ulgowe paszporty i ulgi przejazdowe oraz — w razie konieczności — udzieli pomocy finansowej w formie ustalonej w indywidualnych wypadkach. Termin przyjmowania zgłoszeń upływa dnia 31 maja br.

Członkowie Klubu.

— P. Ludwik Januszewicz (Warszawa) został przyjęty w poczet *członków zwyczajnych* Klubu i przystąpił do Koła Warszawskiego K. W. P. T. T.

— P. Stanisław Braun (Warszawa) został przyjęty w poczet *członków uczestników* Koła Warszawskiego K. W. P. T. T.

— P. Jadwiga Pierzchalanka (Zakopane), dotychczasowa członkini zwyczajna Koła Zakopiańskiego K. W. P. T. T., zgłosiła swe *wystąpienie z Klubu.*

— P. Irena Szydłowska (Warszawa), dotychczasowa członkini zwyczajna Klubu, oraz pp. Zofia Godlewska i Zasław Malicki, dotychczasowi członkowie uczestnicy Klubu (wszyscy z Koła Warszawskiego K. W. P. T. T.), zostali przez Zarząd Klubu *skreśleni z listy członków* Klubu na zasadzie § 10 statutu Klubu (tj. z powodu nieopłacenia, mimo licznych upomnień, składek członkowskich za lata ubiegłe).

TREŚĆ: L. Gorski: *Dormitor* (89). — J. Pierzchała: *Itinerarium Ötztalskie* (95). — *Materiały do historii taternictwa:* J. A. Szczepański: *O północnej stronie Małego Kiezmarskiego Szczytu* (100). — *Itineraria* (103). — *Skalne drogi* (104). — *Karta żałobna* (105). — *Kronika himalajska* (105). — *Kronika alpinistyczna* (106). — *Notatki* (107). — *Sprawy ochrony przyrody Tatr* (108). — *Z piśmiennictwa* (109). — *Korespondencja* (111). — *Sprawy Klubu* (112).

Wydawca: Klub Wysokogórski P. T. T. Redaktor: Zdzisław Dąbrowski

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

(Do artykułu pt. «Sentinelle Rouge» na s. 113–120).

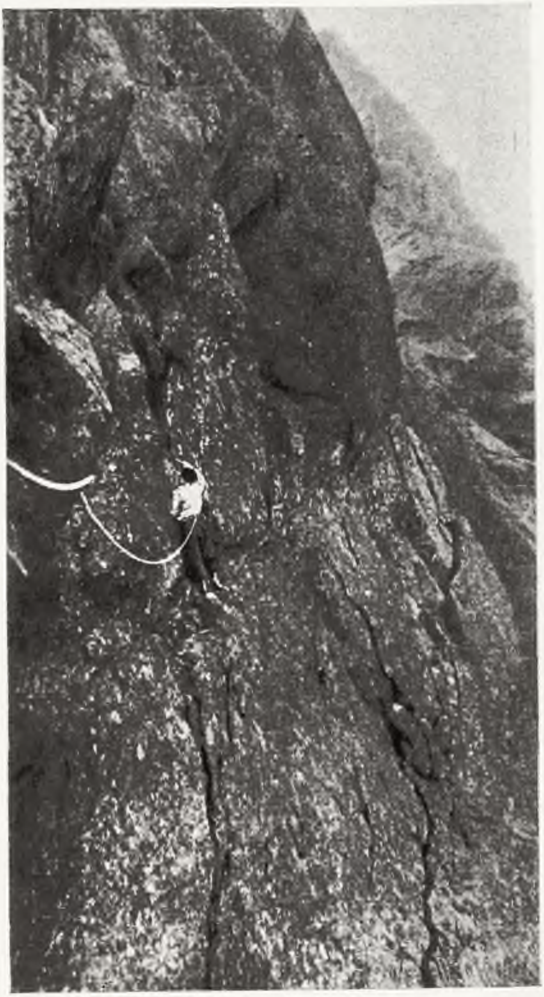


MASYW MONT BLANC OD WSCHODU

Fot. S. Groński



(Do artykułu pt. «Północna ściana Żabiego Konia» na s. 120—121).



NA PÓŁNOCNEJ ŚCIANIE ŻABIEGO KONIA

Fot. L. Januszewicz

*

PRENUMERATORZY „TATERNIKA“,
którzy opłacili prenumeratę za rocznik bieżący w wys. zł 4.—, proszeni są o uregulowanie dopłaty zł 1.—, ponieważ PRENUMERATA ZA ROCZNIK XXII (1937/8) „TATERNIKA“ WYNOSI ZŁ 5.—.

*

U W A G A!

Z DNIEM 1 STYCZNIA 1938 R.

ADMINISTRACJA „TATERNIKA“ ZOSTAŁA PRZENIESIONA DO WARSZAWY

NOWY ADRES: Warszawa, ul. Żurawia 9 m. 1. Tel. 9.41-42.

W Krakowie pozostała pod dotychczasowym adresem jedynie FILIA ADMINISTRACJI, która załatwia interesantów zgłaszających się na miejscu w celu opłacenia prenumeraty, lub zakupienia «Taternika» i innych wydawnictw Klubu.